Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 75 gr.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

W NUMERZE:

T. ORLEWICZ — Indie — kraj głodu i walki J. KARPIŃSKI — U spółdzielców w Nieczajnie
J. STAWIŃSKI — Lud włoski wkracza w rewolucję L. ARAGON i A. STIL — Francja woła
M. ŻMIGRODZKA — Wybitne osiągnięcia realizmu socjalistycznego L. LEGUT — Watycha...
M. NIEWIAROWSKI — Spotkanie z dziewczyną M. WILK — Pamflety Gałana
S. SIEKIERSKI — Popularyzować osiągnięcia bibliotekarzy
G. TIMOFIEJEW — O radzieckim szkicu literackim

Rok IX

Warszawa, dn. 20 VII. 1952 r.

Nr 29 (363)

Foto CAF

A. F. KIRŁO-NOWACZYK

RANEK W SPÓŁDZIELNI

Swit z mroków wynurzył kontury chat białe,
pierwszy dymek siwym uleciał obłokiem.
Jeszcze senna cisza nad ziemią zwisała,
Kasztan chwiał na wietrze listowiem szerokim.
Po drodze wóz terkotał. Z przebudzonych okien
twarz wyjrzała czerstwa snem zaróżowiona.
Mleczarka szła do zlewni. Chłopiec jasnooki
parę gniadych pędził. Zadudniły dzwona.
Grzesiak w progu stanął. Mgły rzedły nad strugą,
odsłaniały oczom dal odległą, płową.
Od sadu woń jabłek szła szeroką smugą,
uśmiechnął się stary — świeży dojrzał owoc.

STANISŁAW KAMIŃSKI

PRZED ŻNIWAMI

Dłonie spragnione pieszczą już kłosy
pachnące świeżym wypiekiem chleba,
ziarno pękate jak krople rosy
szybko w przedżniwnym słońcu dojrzewa.

Płodne się w polu zanosi żniwo,
wypracowane troską najszczerszą:
wspólnie się cieszą i wspólnie dziwią
chłopi z powstałej wiosną spółdzielni.

Wnet przyjdzie lipiec naglony słońcem
i płowe kłosy miodem zabarwi:
wyjdą w południe któreś gorące
żąć plon na wspólne pola żniwiarki.

I wyjdą w pole chłopi gromadnie,
o plon złączeni troskliwą myślą:
przed burzą pokos ku stogom zgarnąć
i grabiarkami przemierzyć rżysko.

Dziś przez te pola szumiące łanem,
którego żadna miedza nie dzieli,
dziś przez te żyta miodem skąpane
prowadzi jasna droga spółdzielni.

RYSZARD DOROBA

PIEŚŃ ŻNIWIARZY

Chociaż pot znojny spływa z czoła,
radością błyszczą nasze twarze —
nasza ziemia do pracy nas woła.
Idziemy na jej zew — żniwiarze.

Idziemy bujne zbierać zboże
z rozległych naszych pól bez miedz,
a w pracy zapał nam pomoże.
Dziś łan przed nami musi lec.

Z pól nas nie spędzą wrogie burze
pieśni nie przerwie mordu stal —
nasz wzrok spokojnie patrzy w dal
na lot gołębia w górze.

Zbieramy ziemi naszej plony,
dorodne, jak spółdzielcze pole —
stawiamy sterty — złote dzwony,
by chleb na każdym leżał stole.

By miasta nasze, sercu bliskie,
już nigdy nie zaznały głodu —
niechaj połączy serca wszystkie
miłość i praca dla narodu.

Z pól nas nie spędzą wrogie burze,
pieśni nie przerwie mordu stal —
nasz wzrok spokojnie patrzy w dal
na lot gołębia w górze.

PIOTR CHMURA

CO MÓWIĄ STARZY CHŁOPI?...

WYSŁALIŚMY kilka listów w kraj, pytając o przygotowania do żniw. W tej małej ankiecie świadomie postawiliśmy na przypadek. Niech idą pytania w nieznane.

Nie można jednak naszego przedsięwzięcia nazwać eksperymentem. Podjęliśmy je bowiem w roku przełomu, kiedy od lat naród nasz staje się narodem socjalistycznym. Toteż kogokolwiek spytacie z mało i średniorolnych w odpowiedzi ukaże wam w większym czy mniejszym stopniu odbicie takiej dynamiki przemian, jaka wciąż przewyższa to, co na temat wsi komponują pisarze. Bo ci „niezawodowi" kronikarze naszego życia i jego komentatorzy ważą się zawsze na przedstawienie ostatnich dni, zanim temat się uleży i zcukruje.

W powieściach i opowiadaniach dowiadujemy się o przemianach już minionych, „wśród ludzi" dowiemy się o tych, jakie teraz na gorąco zachodzą. A jaką one otwierają perspektywę — warto aby zorientowali się pisarze i działacze.

Foto J. K. Maciejewski

✣

Oto macie przypadek. Odpisuje małorolny, Marcin Szczepaniak z powiatu sieradzkiego. On stary, żona staruszka ale — „radę sobie dajemy". W jaki sposób? Dwie córki pracują w przemyśle, „w mieście Łodzi", syn w Wojsku Polskim. To jedna strona zagadnienia, ale jest i druga. Staruszkowie zostali na gospodarce, której dzieciom już nie przekażą, wyfrunęły bowiem z gniazda. Dla nich zaś samych ze względu na starość i małe potrzeby byłoby lepiej produkcję obniżyć i ograniczyć. Takiego spodziewaliście się wyniku? Toście się pomylili.

„Radę sobie dajemy bo i tam w mieście potrzebni są ludzie do pracy, jak i obrony granic naszej Polski Ludowej".

„Dziękuję redakcji za pamięć i troskę o pracę chłopa. Wasze słowa zbliżyły mnie do miasta i czuję, że jestem w ścisłej łączności ze stolicą, naszą Warszawą".

„Okres żniw, to chwila, na którą czeka rolnik i cała nasza Polska pracująca miast i wsi".

Stary Marciniak, jak widzicie, nie obniżył i nie ograniczył produkcji.

Przeciwnie, wzmógł ją i rozszerzył, bo Marciniak to człowiek z awansu społecznego. Z tej kategorii awansu, jakiej dotąd prawie nikt nie wymieniał. Pisało się o szkołach, kursach, przodownictwie, kadrach działaczy, nominacjach, wysokokwalifikującym szkoleniu w pracy itd. A Marciniak uświadamia sobie jeszcze inny rodzaj — *awansu starych chłopów.*

Na czym ten awans polega? „Czuję, że jestem w ścisłej łączności... *ze stolicą i miastami".* Ze stolicą, tzn. z rządem ludowym, z miastami, tzn. ze zwycięską i kierującą klasą robotniczą. Jaka to łączność? Taka, która wynosi małorolnego, bo w sojuszu robotniczo - chłopskim przybliża go i najściślej jednoczy z władzą i ustrojem.

Ale tak się rzeczy mają — powiecie — z całym chłopstwem mało i średniorolnym, niezależnie od wieku. Oczywiście, z tym jednak zastrzeżeniem, że różne bodźce wywołują ten sam stan rzeczy w różnych klasach wieku. Starzy chłopi mają najpełniejszą skalę porównania nowych lat z dawnymi i to ich różni od młodych pokoleń.

Marciniak pisze, że „w mieście potrzebni są ludzie zarówno do pracy jak i do obrony naszej Polski Ludowej". Ten sam Marciniak w latach swojej młodości i dojrzałego wieku widział, że w miastach do pracy ludzie nie byli potrzebni. Bo ci, co wychodzili ze wsi, nie utwierdzali ani rodziny ani gromady w przekonaniu, że są potrzebni Polsce, że idą na inny posterunek gospodarki narodowej. Walka o życie rozszerzała się tu i tam ale bilans po obu stronach jednako układał się gorzki i zawodny.

Marciniaki doświadczyli aż nadto dobrze, co znaczyło dla „stolicy" być mało a nawet średniorolnym chłopem. Władza nad chamami! Stupajka, sekwestrator, pacyfikacje i sądy. Z której by nie brać strony jedno jest pewne — nienawiść starych Marciniaków do sanacji, do dyktatury burżuazyjno - faszystowskiej przepaścią oddzieliła ich od „stolicy", od miast oddzieliła tragedia klasy robotniczej, podły los braci i dzieci, ryzykujących poniewierkę od miasta do miasta. O klasie robotniczej też wiedzieli, że nad nią jest władza wyzysku i terroru. Jakże więc te dwa ramiona rodziny chłopskiej — pozostałych na roli i desperatów, którzy wędrowali do fabryk — miały czuć, „że są w ścisłej łączności ze stolicą i miastami"?

Starzy chłopi bywali jeszcze za oceanem, we Francji, Niemczech Belgii, znali jeszcze fabryki, podczas, gdy młode pokolenie w swoich życiorysach (8 milionów bezrobotnych) ukazało, że miasta i fabryki są już dla niego tylko złowrogim i niedostępnym mitem.

Starzy pamiętali czasy, kiedy wydawało się, że w kapitalizm można będzie jeszcze wróść. Że przyniesie on rozwój techniki, industrializację, postęp w rolnictwie i rynek pracy. Starzy więc już przed wojną mieli co porównywać. Oni widzieli prawie wszystkie ogniwa procesu, który mówił o gniciu kapitalizmu, o katastrofie, jaka zawisła nad masami ludowymi i ojczyzną.

Dlatego nie przechodźcie lekko nad wstępem listu starego Marciniaka. Nie czytajcie go powierzchownie. Jedno ramię rodziny Marciniaka — dzieci — znalazły w mieście pracę, która *wreszcie jest potrzebna narodowi* i dzięki której już *„Polska przestała być krajem biednym, bezbronnym i niezaradnym".* Drugie ramię — starzy Marciniakowie — przeżywają w nowej Polsce z roku na rok coraz pełniej *godność,* jaką zdeptano w ich latach młodzieńczych i dojrzałych — „żniwa to chwila, na którą czeka rolnik i cała *nasza Polska pracująca miast i wsi".*

Dlatego czuje stary Marciniak, że jest w ścisłej łączności ze stolicą i miastami. I dlatego „radę sobie dajemy", mówi w swoim i żony-staruszki imieniu. I jeszcze coś mówi. Coś, co dowodzi, jak głęboko sięgnęła rewolucja w najstarsze pokolenie, jak je zdobywa i jakiego wreszcie znajduje w niej strażnika swych zdobyczy: „radę sobie dajemy bo i tam, w mieście potrzebni są ludzie *do obrony granic naszej Polski Ludowej".*

✣

Stary Marciniak pisze z wioski Dzierzązna, leżącej nad górnym biegiem Warty. 60 gospodarstw, 34 konie, „liczyć co drugie gospodarstwo. Przy takim stanie gromada zdolna będzie dokonać szybko siewu poplonu". Jak Wam się podoba rachunek Marciniaka? Starzy chłopi na dawnej wsi cieszyli się autorytetem, oczywiście, chłopi bogacze. Taki miał doświadczenie wieku i wielkiej gospodarki. Senior ogarniał spojrzeniem całą gromadę i wyrokował o niej w gminie i na sejmiku. Ale nie małorolny, ale nie tak, jak to czyni Marciniak. W kampanii produkcyjnej ten stary chłop widzi gromadę, jako całość. Czy jest spółdzielcą? Nie. Czy chce spółdzielni produkcyjnej? Nie wiem. Ale jasne, że w obliczu kampanii żniwnej rozumuje jak przewodniczący kolektywu. We wsi indywidualnej trzeba jednak dopiero montować zespół. Nie jest on gotowy, jak w spółdzielni. Zadanie trudniejsze i strategia szersza. Bo aby praca była wspólna, należy uwzględnić i ubezpieczyć warunki, które popchną gromadę do wspólnej i terminowej akcji. Stary Marciniak zdumiewa.

„Nasza gmina liczy siedem gromad. SOM posiada 2 snopowiązałki i dwie żniwiarki, 300 kg. sznurka do wiązania. Mamy jeszcze jedną żniwiarkę prywatną, którą będziemy dysponować. Razem więc 3 żniwiarki i 2 snopowiązałki do dyspozycji. Ale choć żyta robią się już białe, tow. Czyżewski, jako kierownik SOM-u w Kamionaczu. jeszcze ich nie rozstawił po gromadach. Także nie jestem pewien, czy prezydium GRN wpłynęło na bogacza Switonia, który ma traktor i młocarnię, a mają go przecież pod bokiem, w gminnej wsi Ronorzycach. Należało wyremontować traktor, bo Switonia podał go, jako zepsuty i sam by nie korzystał, byle nie puścić w ruch dla chłopów.

W sprawie omłotów poważne zaniedbanie. Do dnia dzisiejszego motory spalinowe są jeszcze w remoncie w Sieradzu (PZGS) i nie wiadomo czy nadążą, a przecież oddane były siedem miesięcy temu do naprawy.

Także nie zajęto zdecydowanego stanowiska wobec dwu kułaków Switonia z Ronorzyc i Sobczyka z Glimia, którzy mają młocarnie. Obie wymagały remontu. Sobczykowi w ubiegłym roku psuł się motor i gospodarze przeklinali go, bo młócili w trzy dni tyle, co się młóci w trzy godziny. Ale Sobczykowi szło o to, aby zniechęcić chłopów do maszyn.

Ludzi mamy w gromadzie dość, aby całe żniwa przeprowadzić sprawnie. Dzieci i młodzież, która powróciła ze szkół, zgłosiła pomoc, co nas bardzo cieszy. Dużo ludzi z naszej gromady pracuje w mieście i innych zakładach pracy. Stąd też będziemy mieli trochę pomocy. Ale najważniejsze, żeby nie zmarnować żadnej maszyny. Za to powinna być ciężka odpowiedzialność".

✣

Władysław Jabłkowski z Ogorzelina (pow. Chojnice) liczy sobie 77 lat. Drugi to zatem list od starego chłopa. Przeprasza za błędy w pisaniu, bo „za caratu nie uczyli mnie po polsku, a to co umiem, sobie zawdzięczam, rodzice biedni byli".

Jakże wielki kawał historii przeżył Jabłkowski. Nie jestem pewny czy rozumiał ją dawniej, kiedy był młody a i potem, kiedy był w sile wieku. Ale teraz, choć pora już grzać się za piecem, 77-letni starzec zdumiewa jasnością sądu i propozycjami, w których mądrość praktyczna i energia czynu znów mu przywracają młodość. Młodość naszych czasów, nowego życia!

Foto J. K. Maciejewski

Jabłkowski bowiem — słuchajcie, słuchajcie — proponuje założenie spółdzielni produkcyjnej. Nie od tego zaczyna. Pisze o przygotowaniach do żniw. Analizuje wszystkie warunki i ogniwa kampanii. I z tych przesłanek - wywodów wybucha pod koniec — „jako jedyna rada" — spółdzielnia produkcyjna. Starzec stawia ją zapalczywie, cały autorytet wieku i wiedzy kładąc na szalę. Na papier przeniósł projekt z dyskusji, z walki w gromadzie, w liście pulsuje ta pasja wojującego starca, słychać, jak stary wali pięścią w stół, a krewni kułaków drżą, bo „dowodzi z ołówkiem w ręku"...

Zacznijmy jednak od początku. Jak by ktoś uniósł kurtynę. Odsłaniają się pola Ogorzelina z jedynym w tej chwili bohaterem na scenie. 77-letni starzec ręką przybliża nam plony. Oto „pszenica ozima — śliczna i jara — dobra, jęczmień browarny — bardzo dobry, owies — średni, seradela, grochy i peluszki— świetne, żyto miejscami sytne, tylko rzepak i rzepik słabo wyrósł, ugodziła go susza, a potem nie skrył śnieg. Z ziemniakami i burakami jak dotąd pomyślnie, opiniować będziemy przed wykopkami. Łubiny— słodki i gorzki, niebieski, bardzo ładne w przedplonie. Niebieski zasiany podwójnie, czym gęstszy, tym lepiej rośnie i nie dopuszcza chwastów, a daje dużo azotu i próchnicy".

Piękny pejzaż. Piękne wprowadzenie. Teraz scena się zaludnia. Najpierw końmi. Wszyscy je mają, „czyli siła pociągowa jest zupełnie wystarczająca do zwózki, podorywek i poplonów".

Wdowie (na 5 ha) i wdowcowi (na 7 ha) Rada Gminna przydzieliła pomoc sąsiedzką. W zapasie są jeszcze traktor i trzy konie u pewnego kułaka, które gromada wciągnęła do akcji.

Na tej scenie kończy się spokojny tok narracji.

Teraz bowiem Jabłkowski ukaże ludzi. A jak ludzie, to już nie sielanka, ale walka.

„W ubiegłym roku zapotrzebowanie na maszyny podpisało nas 65 średniorolnych i dwu małorolnych. Plan zaś był sporządzony na 120 gospodarzy. Reszta to jednak kułacy, którzy posiadają swoje własne wiązałki, żniwiarki, motory, kosiarki, siewniki i młocarnie. Nie liczono ich więc w planie. I z Ośrodka z Chojnic dosłano nam 2 żniwiarki i jedną wiązałkę. Za mało tego było na nas średnio i małorolnych. A kułaków nie pociśnięto, aby z ołówkiem w ręku wyliczyć ile ich maszynami dało by się nam i w sąsiedniej wsi obrobić. To był błąd i będzie źle jeśli teraz się powtórzy.

U nas bowiem we wsi jest szczególna sytuacja. Część niemała gromady to kułacy, a druga większa — średniacy i małorolni. Ale w tej grupie dużo synów i krewnych kułaków, więc na ich zapatrywania mają wpływ bogacze. Gdyby maszyny wujków i stryjków użyć dla gromady, to by krewni przekonali się, co znaczy zorganizowana technika na polach całej wsi.

Prywatnych maszyn do młócenia mamy wśród średniorolnych 5 i te są przyobiecane do akcji. Co jest po tej stronie, to mimo wujków i stryjków kułaków da się w gromadzie wykorzystać.

Najcięższa u nas sprawa z siłą roboczą. Wprost katastrofalna. Wszystka młodzież poszła do szkół a po skończeniu na urzędy, do fabryk, do kopalń, do PGR-ów, SP. Wieś ogołocona z robotników. I za żadne pieniądze takowego nie dostanie. Urządzamy się więc w ten sposób, że 13 gospodarzy idzie do jednego i w dwa dni na 2 ha wykopki ziemniaków gotowe. ale konie tymczasem stoją, orka i siew czeka, a kiedy dojdziemy do ostatniego, to mu pole mrozy mogą już złapać.

W ubiegłym roku zlikwidowaliśmy ugory do cna. 70 ha. Ale teraz przy braku siły roboczej mocno je czujemy, bo ci co przybędą na urlopy, kropla w morzu. Wszystkim akurat na żniwa nie wyplanują urlopów. Jakby tak dalej miała iść indywidualna gospodarka, to przewiduję załamanie u nas z braku rąk roboczych, jak było z trzodą chlewną w tamtym roku. Jedyna rada — założyć spółdzielnię produkcyjną.

Dowiedzione jest z ołówkiem w ręku, że 300 ha przy 2 traktorach z przyczepkami i 4-ch parach koni, przy zastosowaniu odpowiedniego płodozmianu śpiewająco obrobi 20 stałych pracowników. To jest jedyne wyjście w naszej sytuacji. A przy pomocy nowoczesnych maszyn będą świetne urodzaje, bo na każdą ziemię inny można zastosować płodozmian.

Na naszych trzy razy większych obszarach jeszcze by zostało trochę luźnych rąk do innych celów. Ale gadaj tu z krewniakami i familiantami kułaków.

Brak sił czują. Rachunku zorganizowanej pracy w spółdzielni podważyć nie mogą. Katastrofa, którą zapowiadam, straszy ich a planu państwo nie popuści. Ale kiedy to wszystko siedzi im już w głowie, na ostatek obzierają się znów na zbrojownię maszyn u wujków i stryjków. Trzeba nam udzielić pomocy i w sprawie tej zbrojowni kułackiego rodu i w sprawie agitacji.

Bo załamanie, jakie przepowiadam, nie załamie produkcji rolnej, załamie tylko siłą rzeczy gospodarkę indywidualną. Trzeba więc pomóc familiantom bogaczy, aby w konieczności, jaka ich dosięgnie z braku rąk roboczych, zobaczyli jeszcze lepszą przyszłość, prawdziwe wyzwolenie.

Piotr Chmura

Foto E. Goławski

JULIAN STAWIŃSKI

CHŁOP WŁOSKI WKRACZA W REWOLUCJĘ

WŁOCHY de Gasperiego i stołypinowską Rosję, czy też Amerykę Łacińską naszych czasów, szarpiącą się w kleszczach kolonializmu USA, nic zda się na pozór nie łączyć. A jednak obraz życia współczesnej wsi włoskiej, kreślony piórem współczesnego pisarza*), nasuwa skojarzenia sięgające daleko poza teren akcji zamknięty fabułą powieściową. Taką zresztą zapewne była intencja autora. „Bieg do Fragala" Juliana Stryjkowskiego to nie tylko wycinek dzisiejszej Kalabrii. Stryjkowski podaje syntezę zagadnień, zilustrowaną na świetnie ujętym przykładzie, syntezę, która każe nam sięgnąć myślą daleko poza miejsce opisywanych wypadków. Problem Roca di Zolfo to problem agrarny Włoch, to dojrzewanie świadomości chłopa włoskiego, to narastanie podstawowego czynnika rewolucji — sojuszu robotniczo-chłopskiego. I mimo całą różnicę specyfiki rozwojowej krajów odległych w przestrzeni czy nawet w czasie, nieodparcie przychodzi nam na myśl genialna analiza leninowska ukazująca w błyskawicowym przekroju tragedię chłopską oraz tragedii tej rewolucyjny akord i rozwiązanie:

„Sam ucisk — pisał Lenin w lecie 1913 — choćby nie wiadomo jak wielki, nie zawsze wytwarza rewolucyjną sytuację w kraju. Przeważnie dla rewolucji nie jest rzeczą wystarczającą, aby *doły nie chciały* żyć tak jak dotąd. Dla rewolucji potrzeba jeszcze, aby *góra nie mogła* gospodarzyć i rządzić jak dotąd. To właśnie widzimy teraz w Rosji. Kryzys polityczny dojrzewa w oczach wszystkich".

Jednakże „ani ucisk dołów, ani kryzys góry, nie wytworzą jeszcze rewolucji — wytworzą tylko gnicie kraju—jeśli nie ma w tym kraju klasy rewolucyjnej zdolnej do przekształcenia biernego stanu ucisku w czynny stan buntu i powstania. Tę rolę klasy istotnie przodującej, istotnie porywającej masy do rewolucji, istotnie zdolnej uratować Rosję od gnicia, odgrywa właśnie proletariat przemysłowy. To zadanie urzeczywistnia właśnie przez swe rewolucyjne strajki". Owe strajki są... „jednym z najskuteczniejszych środków przezwyciężenia apatii, rozpaczy i rozproszkowania proletariatu rolnego i chłopstwa, *wciągnięcia go* do możliwie najbardziej zgodnych, jednoczesnych oraz szerokich *wystąpień rewolucyjnych*".

Czynnikiem, który przyspieszał kryzys góry i rewolucjonizował chłopów przechodzących w szeregi proletariatu, był ucisk i była wojna, czyli środki mające na celu utrwalić władzę reakcji. Taki bowiem fatalizm ciąży na burżuazji, że chcąc się ratować zbliża tylko swój kres. Kto chce zatrzymać historię, zwiększa tempo jej marszu, przeciąganie bezruchu wsi rozsadzić musi ustrój. Na rolniczym południu Włoch tli się w załomach wyschłej ziemi pożar niemniej gwałtowny, niż w fabrykach północy zamykanych z rozkazu monopoli USA.

Kiedy przed blisko stu laty Giuseppe Garibaldi na czele Tysiąca Walecznych wyzwalał południowe Włochy spod despotycznej władzy Burbonów i z balkonu na Piazza Pretoria w Palermo ogłaszał wolę ludu włoskiego „aby Italia była jedna i niepodzielna", jak głosi pamiątkowa tablica — nie zdawał sobie sprawy, że jedność ta będzie jednością wyzyskiwaczy, że burżuazja pogrzebie niebawem własną rewolucję i, sprzysiężona z pobitym feudalizmem, na jego gruzach i pozostałościach zbuduje rządy nowego terroru.

Zjednoczenia Włoch dokonał kapitalizm przemysłowy Północy, wątły, pozbawiony rezerw, bazy surowcowej i zdolności konkurencyjnej. Toteż szybko popadł w zależność od potężniejszych rywali. Z początkiem XX-go stulecia kapitał niemiecki królował w Lombardii, angielski na Sycylii, francuski w Piacentino, belgijski w przedsiębiorstwach tramwajowych etc. W rezultacie narastający imperializm włoski przezwany został „imperializmem biedaków" (l'imperialismo delle povere gente), a przywódca nacjonalistów, Corradini, nakładał mu maskę nieomal wyzwoleńczą pisząc: „Tak jak socjalizm był metodą oswobodzenia proletariatu od burżuazji, tak nacjonalizm będzie dla nas, Włochów, metodą uwolnienia się od Francuzów, Niemców, Anglików i Amerykanów, którzy w stosunku do nas stanowią burżuazję".

Kapitalizm włoski, cierpiąc na chroniczny i „wrodzony" niedowład, pogłębiał jeszcze własne trudności swą kolonialną polityką wobec Południa. Była to niemal replika uprawianej w Irlandii polityki kapitału angielskiego. Południowe prowincje Włoch utrzymywano w sposób sztuczny w ramach gospodarki przedkapitalistycznej, co miało gwarantować trwały rynek zbytu dla wyrobów przemysłowych Północy, trwałe źródło taniej siły roboczej i źródło niektórych surowców. W praktyce uczynienie z Południa kolonii kapitalistów lombardzkich zwęziło i usztywniło rynek wewnętrzny wywierając fatalny wpływ na całokształt gospodarki Włoch, przede wszystkim zaś na rozwój agrarny i demograficzny Włoch południowych.

Od roku 1864 ludność kraju wzrosła przeszło o połowę. Jednakże ludność produktywna wzrosła zaledwie o 2,5 proc., a na południu o 2 proc., gdy ludność nieproduktywna — o 103 proc. Tym samym obciążenie elementów wytwórczych wzrosło o 220 proc. Bezrobocie w przemyśle, o charakterze chronicznym, obejmuje 27 proc. robotników — z górą 2 miliony. Liczba bezrobotnych robotników rolnych wynosi znacznie ponad milion, a najemników rolnych zatrudnionych przeciętnie ok. 100 dni w roku przekracza 4,5 miliona.

Cały obszar ziemi uprawnej zajmuje przestrzeń 28 milionów hektarów. Z tego 16 milionów należy do wielkiej własności oraz Kościoła i państwa. Do chłopów średniorolnych i kułaków — 6 milionów. A przeszło pięciomilionowa masa bezrolnych i małorolnych, która wraz z rodzinami stanowi połowę ludności kraju, gnieździ się na niezliczonej ilości gospodarstw karłowatych o łącznym obszarze zaledwie 6 milionów ha. W rezultacie przypada ich najmniej tysiąc na obszarnika, najmniej tysiąc na każde latyfundium. Połowa tych karłowatych gospodarstw to zagrody pozbawione zupełnie ziemi, a nieraz nawet i ludzkiego domostwa. Według urzędowych spisów czwarta część ludności Południa zajmuje „lokale" niemieszkalne, z których blisko 20 proc. stanowią groty, szałasy z chróstu i zeschłych liści itd.. Takie stosunki spotykamy nagminnie w Ameryce Łacińskiej, w Europie należą jednak na ogół do przeszłości dawno już przebrzmiałej. Przyczyny zresztą w obu wypadkach są te same i ten sam mechanizm: kolonialne metody wyzysku, prymitywne metody uprawy i przedkapitalistyczna, feudalna struktura gospodarki rolnej; analfabetyzm sięgający i dziś 50 proc.

Na ciemnocie i nędzy wznosiła swój dobrobyt arystokracja włoska i z nich czerpała siły w złudnym przekonaniu, że aż po kres istnienia rodzić będą bierność — rękojmię obszarniczej potęgi. Motyka i łopata wciąż jeszcze są narzędziem pracy bezrolnych i małorolnych rozgrzebujących z rozpaczą jałowe z braku nawozów spłachetki wyschłej ziemi. I po dawnemu gospodarzy obszarnik: małe nakłady, wielkie nieużytki — najczęściej liche pastwiska i tereny łowieckie.

Stupudowym ciężarem przygniata chłopa włoskiego pan latyfundium, a narzędziem ucisku są dwa zwłaszcza czynniki sprawiające, że rolnictwo „słonecznej Italii" tworzy groźną, posępną osobliwość współczesnej cywilizacji — dzierżawa i woda. Nigdzie na świecie nie ma chyba takiego łańcucha pośredników, takiej piramidy wyzysku: dzierżawcy, poddzierżawcy pierwszego i drugiego stopnia — aż wreszcie schodzi się na sam dół, do właściwego uprawiacza ziemi. Z tym systemem wiąże się cała gmatwanina powiązań bocznych: chłop pozbawiony jest często najprostszych narzędzi, a z reguły — sprzężaju. Wypożyczanie inwentarza pociąga za sobą odrobek — stałą zmorę pańszczyźnianych stosunków. Dodajmy łańcuch pośredników w sprzedaży, dodajmy osławione i u nas nożyce — wysokie ceny wyrobów przemysłowych i niskie produktów rolnych. Dodajmy świadomie wrogą politykę fiskalną i transportową — a będziemy mieli pełny niemal obraz niewoli w jakiej szamoce się chłop włoskiego Południa.

Niemal pełny — z wyjątkiem wody. Trudno znaleźć miarę porównawczą aby uwypuklić doniosłość tej sprawy. Chyba wśród plag egipskich Starego Testamentu, czy wędrówce poprzez pustynię do Ziemi Obiecanej. Z tą różnicą, że ziemia obiecana tutaj leży o rzut kamieniem, wchodzi w skład włości obszarniczych, zaokrąglonych przy oficjalnym znoszeniu pańszczyzny w taki sposób, aby zapewnić latyfundiom zupełny w praktyce monopol na wodę.

Apulia, Lukania, Kampania Neapolitańska, Bruttium — dzisiejsza Kalabria — były niegdyś spichrzem i bazą agrarną potęgi starożytnej Romy. Podstawą rolnictwa była irygacja, do pracy tej wprzęgano tysiące niewolników. Od owych czasów wilgotność gleby poważnie się zmniejszyła na skutek wycięcia lasów, a urządzenia nawadniające zostały skasowane: ich brak zapewnia obszarnikom władzę absolutną ,władzę dosłownie życia i śmierci nad milionową rzeszą niewolników współczesnych, których wyżywić nie może ziemia spalona słońcem na popiół, zakrzepła w skałę bardziej nieczułą niż ta, skąd za sprawą Mojżesza wytrysło źródło.

Bezpowrotnie zresztą minęły czasy Mojżeszów, nadeszła epoka rewolucji. Socjalistycznej rewolucji, której — jak mówił Lenin — „nie można rozpatrywać jako jeden akt, ale należy rozpatrywać jako epokę burzliwych wstrząsów politycznych i gospodarczych, najostrzejszej walki klasowej, wojny domowej, rewolucyj i kontrrewolucyj". Poprzez dwie „samodzielne" wojny kolonialne „imperializmu biedaków", poprzez dwie wojny światowe, poprzez faszyzm Mussoliniego i superfaszyzm amerykański rządzący dzisiaj Włochami narasta socjalistyczna przyszłość Italii. Panowanie burżuazji wciąż jeszcze trwa, ale góra włoska nie może już gospodarzyć i rządzić bez terroru. A nawet taka terrorystyczna dyktatura nie mogłaby się utrzymać ani jednego dnia, gdyby nie była oparta o czołgi i bagnety USA. Cena tego poparcia jest bardzo wysoka. Monopole amerykańskie nie operują obecnie drogą eksportu kapitałów, wykupu poszczególnych przedsiębiorstw. Takich inwestycji nie chcą ryzykować. Ich dominacja polega na podporządkowaniu sobie całej klasy rządzącej i całej gospodarki kraju podbitego. Rozbijają jego ekonomiczną strukturę, czynią z jego przemysłu filie uzupełniające własnych zakładów centralnych, zajmują bazy, narzucają zbrojenia i wykrwawiają doszczętnie ujemnym bilansem płatniczym.

W tych warunkach de Gasperi stanął wobec prawdziwej kwadratury koła. Powrót do koalicji antyfaszystowskiej z pierwszych lat po wojnie był dlań niemożliwy, gdyż oznaczałby koniec władzy kapitalistów północnych ,których jest narzędziem i przeciwstawienie się Stanom Zjednoczonym, dzięki którym pozostaje u steru. Departament Stanu domaga się dalszej faszyzacji i tego samego żąda również Watykan. Zadanie nie jest jednak tak proste. „Ostatecznie, nie da się zaprzeczyć, że faszyzm przegrał wojnę" — jak się wyraził niedawno znany reakcyjny dziennikarz amerykański, Joseph Alsop. De Gasperi organizuje więc faszyzm klerykalny, przybrany w cały przepych liturgicznego aparatu, zbrojny w magię zaklęć, błogosławieństw i klątw, realizuje niespełnione sny o powrocie do władzy świeckiej piątego już z rzędu papieża.

Kryzys góry dochodzi do zenitu, zaostrza się antagonizm pomiędzy drobnomieszczaństwem a burżuazją, chłopi uświadamiają sobie, że przyczyny ich nieszczęść leżały w porażkach proletariatu.

Proletariat włoski, zjednoczony wokół partii komunistycznej i solidarnej z nią partii socjalistycznej, po złamaniu faszyzmu stanął na czele narodu jako klasa rewolucyjna, istotnie przodująca, istotnie zdolna uratować Włochy od gnicia. Proletariat włoski opracował plan odrodzenia życia gospodarczego, nazwał go swoim imieniem — Piano del Lavoro — zajmuje bezczynne fabryki i puszcza je w ruch: strajk czynny, strajk „na odwrót". Inicjuje front narodowy, sojusz robotników i chłopów w obronie niepodległości politycznej kraju, sojusz walki o pokój i usunięcie okupantów amerykańskich. „Trzeba przyznać — pisze angielski labourzysta Aylmer Vallance — że klasa robotnicza i partia komunistyczna to sól ziemi włoskiej". I cytuje słowa starego profesora uniwersytetu w Genui: „Przez lat trzydzieści byłem liberałem i jestem nim nadal. Ale w komunistach widzę dzisiaj jedyną ochronę mojej wolności osobistej przed brutalną i bezwzględną reakcją".

Włoska klasa robotnicza swoim przykładem i bezpośrednim wpływem rewolucjonizuje masy proletariatu rolnego i chłopstwa, które przezwyciężają zupełnie swą wieloletnią apatię, rozpacz i rozproszkowanie. Najemnicy rolni tworzą potężny związek — Federbraccianti— obejmujący ponad milion członków i sami z kolei organizują strajki „na odwrót". Łączą się z nimi drobni dzierżawcy i chłopi bezrolni i małorolni, wciągają się do solidarnych akcji z proletariatem przemysłowym, przystępują do masowych wystąpień rewolucyjnych, wysuwających żądania polityczne i gospodarcze. Wielki strajk rolny najemników wiosną 1949, a potem opłacone krwawymi ofiarami okupowanie ziem obszarniczych zmusiło wreszcie rząd do wniesienia projektu reformy rolnej. Reforma była wprawdzie bardzo nieśmiała, a przy tym nawet i taka uległa jeszcze okrojeniu pod wpływem sprzeciwów części popierających de Gasperiego ugrupowań. Ale jej skutki były nader znamienne: wstrząsnęły koalicją rządową, dobywając na jaw nurtujące ją sprzeczności, natomiast skonsolidowały sojusz robotniczo-chłopski. Znalazło to wyraz w ostatnich wyborach samorządowych.

Książka Juliana Stryjkowskiego jest ilustracją tezy leninowskiej świetnie przeprowadzoną na przykładzie jednej wsi kalabryjskiej, a w planie węższym na przykładzie ewolucji jednostki, bohatera fabularnego utworu — Salvatore Lo Meo. W zasadzie treścią książki jest walka wsi Rocca di Zolfo o porzuconą odłogiem, a należącą do posiadłości barona Berlingieri kotlinę Fragala. W owym czasie, jak wiemy — jesienią 1949 — najemnicy i chłopi zajęli na południu Włoch ponad 100.000 hektarów ziem obszarniczych, a w akcji tej wzięło udział blisko sto tysięcy ludzi. W tym samym czasie w jednej z prowincji środkowych w dobrach największego z magnatów włoskich (40.000 ha) księcia Torlonii 10.000 najemników poddało intensywnej uprawie olbrzymie tereny leżące od niepamiętnych lat odłogiem. Powieść odmalowuje zatem epizod doniosły i oparty na faktach obiektywnej rzeczywistości. Ale na tym autor nie poprzestaje — ukazuje przemianę człowieka. „Czas znajduje swoich ludzi" — mówi Armado, sekretarz miejscowej organizacji partyjnej. Słowa te są jakby punktem węzłowym powieści. W nich przecinają się wszystkie wątki, zbiegają naczelne elementy utworu, one wyznaczają drogę wynurzania się i rozwoju świadomości klasowej u Salvatore. Analizę zaś tego procesu rzutuje Stryjkowski na szeroko rysowane tło, odsłaniając przed nami całą budowę i cały mechanizm społeczności wiejskiej, linie podziału klasowego, sprzeczności rzeczywiste i pozorne, dążenia i pragnienia jednostek i kierunek rozwoju zbiorowości. Zbiorowości węższej, miejscowej, oraz szerszej — narodu. W ten sposób powstaje rozległa perspektywa, z której wyłania się głębsza treść książki — obraz narodu w walce, obraz Włoch na drodze prawdziwej jedności, tworzonej przez narastającą coraz gwałtowniej falę rewolucyjną.

Obraz trafnie oddany

Julian Stawiński

*) *Julian Stryjkowski, „Bieg do Fragala", „Czytelnik" 1951.*

TADEUSZ ORLEWICZ

INDIE — KRAJ GŁODU, WALKI I NADZIEI

INDIE, kraj, w którym mieszka nieomal jedna piąta ludności globu. Według oficjalnych danych rządowych zginęło tam w r. 1942 i 3-im z głodu 2 miliony ludzi. W rzeczywistości, co najmniej 3 miliony 500 tysięcy.

„Któregoś dnia, jeśli Rahoul pamiętał dobrze, było to późną wiosną, jakiś samotny włóczęga na zachodnim wybrzeżu potknął się i upadł, by nie powstać więcej. Umarł z głodu, tak podawały gazety, a krótka notatka przeszła niemal niezauważona. Cóż, zwykły żebrak. Nikt nie domyślał się wówczas, że śmierć żebraka była ostrzeżeniem, symbolem nadchodzących czasów. Inni mężczyźni padali i umierali. Potem kobiety. Wreszcie dzieci. Mężowie i synowie próbowali obronić przed głodową śmiercią swoich najbliższych w domu, ale próżne były ich rozpaczliwe wysiłki. Ginęli wszyscy wspólnie".

W miastach umierający, którzy leżeli bezładnie na zmytych monsunowymi deszczami chodnikach, nie byli przyjmowani do szpitali — przepisy wzbraniały łóżka na sali człowiekowi, który nie był chory, a tylko umierał, bo miał pustkę w brzuchu".

Na wsi: „mężczyźni ,doprowadzeni do rozpaczy gromadami opuszczali domy praojców i szli na poszukiwanie żywności; czepiali się buforów wagonów, jechali na rozpalonych w słońcu dachach, lecz policja położyła kres tym jazdom. Wówczas mężczyźni wylegli na drogi i łąki — — dziesiątki tysięcy wiejskich strumieni płynących w kierunku stolicy".

Po drodze marli z wycieńczenia głodowego, rozszarpywani za życia przez szakale. „Trupy leżały tuż przy drodze, stłoczone jeden obok drugiego. Obrane z ciała do kości, z pustymi oczodołami, z gnijącymi strzępami skóry i mięsa na nosie, brodzie i żebrach. z rozłupanymi czaszkami; tylko włosy były nienaruszone — miękkie jak puch włosy dziecka, włosy mężczyzny, długie po pas włosy kobiety. Rodzina zapadła w sen. A we śnie czyhały na nich sępy". Wraz z psami i szakalami odgrywały rolę jedynych sanitariuszy na wielkich przestrzeniach bogatych, ogromnych Indii.

O tragicznych dniach głodu mówi powieść młodego pisarza hinduskiego, Bhabani Bhattacharya*). Ten głód, jak wiele przed nim i po nim, nie był wynikiem kary bogów czy klęski nieurodzajów. Był dziełem kolonialnej polityki angielskiego imperializmu. Jest też powieść Bhattacharyi celnym oskarżeniem tego imperializmu, całego aparatu wyzysku i eksploatacji, skonstruowanego przez angielskich kolonizatorów na żywym ciele narodu hinduskiego.

Czy angielscy kolonizatorzy sami bez żadnej pomocy od wewnątrz uprawiali tę grabież? W sukurs przyszła im hinduska burżuazja. Bhattacharya ukazuje tych pomocników angielskiego imperializmu — kupców i urzędników, wiejskiego spekulanta Girisza, szakala w ludzkim ciele, chciwego giełdziarza Samarendrę stawiającego na „wszechpotęgę" Imperium, spekulanta na ogromną skalę — sir Abalabandhu, który zarabia równie dobrze na ryżu, jak na domach publicznych, zapchanych spędzonymi batem głodowej śmierci kobietami hinduskimi. Oni, tak jak policja strzelająca do bezrobotnych, jak żołnierze odbierający rybakom łodzie, wykonują politykę administracji angielskiej, którą lud hinduski nazywa krótko: **Niegodziwa Rzecz.**

Ta Niegodziwa Rzecz sprawiła, że „przecież my wszyscy znajdujemy się w jednym ogromnym więzieniu, całe czterysta milionów mieszkańców Indii". Ta Niegodziwa Rzecz sprawiła, że za murami więzień przebywało „sześćdziesiąt tysięcy kobiet i mężczyzn, a większość stanowili wieśniacy. Tysiąc padło od kul, dwukrotnie więcej odniosło rany. Wielu zawisło na szubienicy po śpiesznie przeprowadzonym dochodzeniu". I przeciw Niegodziwej Rzeczy wymierzona jest powieść Bhattacharyi.

Autor operuje szerokim tłem społecznym, potrafili sugestywnie wykazać narastanie walki o wyzwolenie Indii spod kolonialnego władztwa, widzi ogrom nędzy i zacofania wsi w swojej ojczyźnie. Umie ująć w ostrych i trafnych obrazach różne warianty wyzysku. Potrafi ustami weterana ruchu Kongresu Narodowego określić minimalny program agrarny dla wsi Indii. Rozumie, że w oczach całej hierarchii wyzyskiwaczy: „chłopi nie byli ludźmi; byli jak żyła węgla, z której wydobywa się węgiel dla zysku nie bacząc na jej wyczerpanie". Nie szczędzi dowodów okrucieństwa Niegodziwej Rzeczy, rozkładu moralnego świata wyzysku i grabieży, do którego zalicza zarówno angielskich najeźdźców jak i przedstawicieli miejscowej burżuazji.

Ale autor oskarżając angielskich władców czyni to z pozycji sympatyka ruchu Kongresu Narodowego, z pozycji zwolennika ruchu burżuazyjnego, którego przywódcy pośpiesznie odżegnali się od swoich demokratycznych programów w momencie uzyskana z rąk Anglików „niepodległości" Indii. Bhattacharya mówi ze szczególną czułością o Dewacie, reprezentancie gandhyzmu, który swoimi hasłami niesprzeciwiania się złu hamował narastanie huraganu gniewu ludu nad wielkimi Indiami. Swemu głównemu bohaterowi każe ograniczać się do współczucia z niedolą ludu i działań filantropijnych. Więcej nawet — każe występującym w powieści chłopom myśleć według wzorów Gandhiego, tak jakby ten sposób rozumowania był jedynym, typowym dla ogromnej masy 280 milionów chłopów Indii. Rosnący w sile i w liczbie ruch narodowo - wyzwoleńczy ludu hinduskiego pod przewodem proletariatu i jego awangardy — partii komunistycznje, został w powieści zagubiony, w lawinie zdarzeń, potraktowany marginesowo. Reprezentuje go Kiszore, robotnik z zakładów włókienniczych, który wypuszczony z więzienia ginie zastrzelony przez Anglików, gdy rozpoczyna swoją wędrówkę za pracą. I tyle tylko o proletariacie. A przecież sam autor pisze, że „burżuazja narodowa zmierzała nie do wyzwolenia „swego narodu" od ucisku narodowego, lecz do wolności wyciskania z niego zysków, wolności zachowania swych przywilejów i kapitałów". przecież w Indiach narasta od dawna walka proletariatu hinduskiego, świadoma i kierowana, walka pod sztandarami niepodległości i wolności od obcych i rodzimych wyzyskiwaczy. W roku 1945 — 820 strajków z udziałem 750.000 robotników. W roku 1946 — 1.629 strajków i 4 miliony strajkujących. W ciągu lat 1949 — 1952 toczą się walki strajkowe we wszystkich ośrodkach przemysłowych Indii. W Bombaju strajkuje 300.000 robotników, kilkaset tysięcy w Kalkucie.

A równocześnie rośnie i dojrzewa w swoim radykalnym rewolucyjnym wyrazie ruch chłopski. Na południu Indii i w Kaszmirze kwestia chłopska wiąże się jak najściślej z kwestią narodową. W Telenganie chłopi zagarniają ziemię obszarników i w trzech tysiącach wsi z ludnością powyżej 5 milionów mieszkańców tworzą komitety ludowe i uzbrojone oddziały samoobrony. Na czele ruchu stają komuniści, urzeczywistniając sojusz klasy robotniczej z chłopstwem przy kierowniczej roli proletariatu. W Pakistanie zagarniają chłopi ziemię zbiegłych z Pakistanu obszarników hinduskich.

Rośnie w Indiach front ludowo - demokratyczny. Partia komunistyczna w ostatnich wyborach na czele ugrupowań lewicy zdobywa poważną ilość mandatów. Są okręgi, w których komuniści zdobywają zdecydowaną większość mimo matactw wyborczych aparatu Pandita Nehru. Dziś Kongres nie ma przeciwko sobie żadnej partii o narodowym znaczeniu tak silnej i tak rosnącej w siły, jak partia komunistyczna. Nawet konserwatywna prasa brytyjska musi przyznać, że „mimo prób Kongresu ściągnięcia związków zawodowych pod swoje skrzydła, sfederowane związki, kontrolujące całą siłę roboczą w przemyśle i transporcie, pozostają całkowicie pod wpływami komunistów". I dodaje: „program agrarny komunistów jest dla chłopów hinduskich bardzo atrakcyjny".

W powieści Bhattacharyi te doniosłe fakty tylko ubocznie dochodzą do głosu. Ale choć niedomówione zaczynają pod koniec akcji grać pełną gamą. „Imperialiści patrzą przychylnie na nasze dziedzictwo duchowe, naszą zaświatowość, ponieważ dzięki niej właśnie mogą spokojnie rządzić, podczas gdy nasze oczy utkwione są w zaświatach. Gdybyśmy mieli przyjąć materialistyczny pogląd na świat, naszych władców ogarnąłby niepokój. A tak się stać musi" — mówi jeden z przedstawicieli hinduskiej inteligencji w utworze Bhattacharyi. A kiedy bohater powieści, uczony - filantrop zostaje aresztowany autor przypomina: „Wolność nie spadnie sama z nieba, ani nie uda się jej otrzymać na żądanie z krajów za morzami; tylko tutaj, na rozległych ugorach cierpienia i walki, zakwitnie jej kwiat, wyrosły z nasienia ducha. Zakwitnie czterolistny lotos, kwiat ludu". A więc już nie hasło niesprzeciwiania się złu, nie filantropia, lecz walka, bo „im mocniej zaciskają się kajdany, tym słabsze stają się pęta"; walka ludu o ludowe, niepodległe Indie.

I dziś Indie nabrzmiewają zbliżającym się huraganem gniewu ludu. Niemal sto lat temu pisał Marks, że w Indiach tkwi zwierzęco - prymitywny kult przyrody, „którego upodlenie znalazło wyraz w tym, że człowiek, władca przyrody, padał pobożnie przed małpą Hanuman czy krową Sabala". Na tym żerowali radżowie i cała drabina uprzywilejowanych kast, a później — imperializm brytyjski. Nowa burżuazja wydźwignęła Gandhiego z jego teorią niesprzeciwiania się złu, z jego kołowrotkiem i kozą. Wyniosła Pandita Nehru, paktującego z krwawym imperializmem amerykańskim i równie bezwzględnym jego starszym krewnym, brytyjskim. Bierność ludu hinduskiego miała być dogodnym tworzywem dla nowych baz wyzysku. Małpę Hanuman miał po funcie sterlingu zastąpić dolar, krowę Sabala — burżuazyjny rząd „wolnego" Hindustanu; byle nadal bezkarnie grabić kraj, ziemię i ludzi. Ale minęły bezpowrotnie dla Indii czasy bierności.

Lud, w którym wpajano gandhyzm, byle zachować burżuazyjny stan posiadania, byle unicestwić żądanie reform gospodarczych i społecznych, potrafi przyjąć program Komunistycznej Partii Indii za własny, gdyż program ten wyrósł z istotnych potrzeb narodowych i społecznych 400 milionów, a wspiera go zwycięski przykład walki i pracy narodów radzieckich, wspiera zwycięski przykład Ludowych Chin, stojących od tybetańskiej granicy u progu półwyspu indyjskiego.

✠

Minął złowrogi rok 1943, opisywany przez Bhattacharyę. Ale oto rok 1944 — znowu tysiące i miliony zmarłych z wycieńczenia głodowego. Wraz z postępującą dalszą pauperyzacją ludności wiejskiej, coraz większą, niemal niewolniczą zależnością od wierzycieli - lichwiarzy, którzy na głodzie mas żerowali jak szakale, głód bije w nowe miliony. W roku 1951 wielkie głodowe rozruchy. Wracają potworności roku 1943. Jedynie pomocy Związku Radzieckiego i Chin Ludowych głodni Hindusi zawdzięczają wydarcie milionów istnień z objęć śmierci. „Times of India" pisze, że w roku 1952 znowu zabraknie 77 milionów ton żywności.

A przecież w samym tylko Bengalu „z jego sprzyjającym klimatem, obfitością słońca, ciepła i wilgoci można — jak pisze M. Dunin w „Nowych Czasach" — trzy i cztery razy rocznie zbierać plony i produkować taką ilość zboża i upraw, która wystarczyłaby z nadwyżką co najmniej dla dwóch, trzech krajów o takiej samej liczbie mieszkańców". I oto w takich warunkach naturalnych „w najwyższym stopniu sprzyjających uzyskaniu rekordowych zbiorów ryżu i trzciny cukrowej, kajanusa (cenna roślina strączkowa, użyźniająca glebę, służąca jako pokarm dla ludzi i pasza dla bydła), rozmaitych odmian sorga i wielu innych upraw zbożowych i przemysłowych (juta, bawełna) „w tych warunkach chłop hinduski zbiera 5 razy mniej pszenicy niż chłop w Anglii, 5 razy mniej ryżu niż biedny fellah egipski, 6 razy mniej bawełny niż w najgorszych latach na bez porównania gorszej ziemi, zbiera średni plantator w USA. W kraju ogromnych bogactw i wspaniałej gleby 65 proc. umiera zanim osiągnie 30 rok życia, a co drugi zmarły to dziecko poniżej 10 lat. Czy można się temu dziwić, skoro jak pisze Bhattacharya: „dochód dzienny mieszkańca Indii wynosi poniżej dwóch anna na głowę". Anna zaś to ledwie jedna szesnasta rupii, a za rupię można nabyć jedynie dwie garście ryżu. Nie można się dziwić skoro miliony funtów i dolarów płyną do kas Wall Street i londyńskiej City, skoro 80 proc. ziemi uprawnej trzymają w swoich rękach obszarnicy, a miliardowe skarby są nadal udziałem maharadżów i książąt, z którymi w grabieży konkuruje dziś skutecznie nowa, wielka burżuazja hinduska, prowadząca pod rządami Pandita Nehru politykę ucisku narodowego.

Jasnym też jest, że bez likwidacji księstw, wielkiej własności obszarników, bez nacjonalizacji wielkiego przemysłu i to nie tylko należącego do kapitału zagranicznego lecz również do rodzimej burżuazji, a więc

(dokończenie na str. 3)

*) *Bhabani Bhattacharya. „Tak wiele jest głodów". Warszawa, 1951. Książka i Wiedza, str. 239. Tłumaczenie: Krystyna Tarnowska.*

JERZY KARPIŃSKI

U SPÓŁDZIELCÓW W NIECZAJNIE

CAŁODZIENNA, jak za pługiem, wędrówka po spółdzielczych polach, po zagonach przyzagrodowych, ciekawskie zaglądanie do obór, chlewni, magazynów, spichrzy, do chałup gospodarskich nawet dało się wszystkim porządnie we znaki. Pod wieczór każdy był już tak przemęczony, że nikomu nie chciało się postąpić ani kroku dalej. Nikomu też nie uśmiechało się siedzieć w schludnej co prawda, ale bądź co bądź dusznej o tej porze świetlicy. Rozłożyliśmy się więc całą gromadą wprost na trawie, w cieniu przydrożnych drzew. Gdyby tak komuś przyszło w tej chwili do głowy sfotografować cały zespół, to oprócz tego na prędce zaimprowizowanego obozowiska uchwycić by musiał na kliszę słupek (w środku ludzkiego koła) z tablicą:

Foto — M. Kornicki

Rolniczy Zespół Spółdzielczy im. ks. Piotra Ściegiennego w Nieczajnie, pow. Oborniki.

Pogawędkę rozpoczął przewodnik wycieczki Godlewski: — Pokazaliśmy Wam towarzysze wszystko co Was interesowało, co było do obejrzenia. Teraz kolej na Was. Wypytujcie się, dzielcie się wrażeniami. — Prosimy obywatele — zachęcał Najdek, przewodniczący spółdzielni.

„Łatwo im tak przemawiać — myśli Aniela Kisz, małorolna chłopka z rzeszowskiego — gorzej nam, na gorąco wypowiedzieć wszystko co po głowie się tłucze. Trudno, bardzo trudno tak od razu związać do kupy rozmaitości całego dnia"... Chodziła niezmordowanie po spółdzielni, zaglądała we wszystkie kąty, pod łóżka niemal... pomyślałby może kto, że jest uprzedzona do spółdzielczej gospodarki, że, broń Boże, wrogo nastawiona? Nie, to nieprawda. Wybrali ją przecież sąsiedzi na tę wycieczkę do poznańskiego, ją, przewodniczącą Koła Gospodyń Wiejskich i działaczkę Stronnictwa Ludowego, to musi wszystko dokumentnie zbadać, zapisać, ażeby po powrocie opowiedzieć całą prawdę i na każde pytanie być gotową.

„Jedź sąsiadko — mówili — rozglądaj się na wszystkie strony, nie daj się, aby przechytrzyć, a jak to co zobaczysz będzie dobre, będzie się zgadzało z tym co o tych spółdzielniach w gazetach wypisują, kto wie, może i w naszej wsi do wspólnego pójdziemy".

— Mój Boże — wzdycha Aniela — nasza wieś, nasz Borchów, gdzieś w lubaczowskim powiecie. Biedny, drewniany, spalony. Nie tak jak tutaj, same murowane chałupy. Gdzieżby się w Borchowie znalazło miejsce na taką obszerną jak w Nieczajnie oborę, na biura dla zarządu spółdzielni, na świetlicę, na takie piękne przedszkole.—Podzieliła się swoimi myślami ze spółdzielcą Kowalakiem. Roześmiał się. „Myśmy też obywatelko od niczego zaczynali".

Foto — M. Kornicki

Zaprowadził ją do swojego starego mieszkania (w domu akurat było pranie, znać, że się na przyjazd gości specjalnie nie przygotowywano), pokazał ceglane podłogi w „pokoju". — Patrzcie—objaśniał—pamiątka po hrabiowskich porządkach; siedem osób w jednej ciasnej i wilgotnej izbie.—Zaciągnął później na nową parcelę. Oprowadzał po nowowybudowanym domku, do którego za kilka dni wprowadzi rodzinę. Domek wspaniały, nawet marzyć o takim nie śmiała. Trzy starannie wymalowane pokoje, kuchnia, piwnica, elektryczne światło, a na dworze dachówką kryta obórka...

W rozmyślania Anieli Kisz trafił przewodniczący spółdzielni. Jak gdyby odgadł nad czym się w tej chwili zadumała... „Wybudujemy z obu stron drogi, obok pola z rzepakiem, dwadzieścia jednorodzinnych domków, postawiliśmy już trzy takie..."

Hulak Józef z Dzikowa Starego zaciekawił się, na jakich warunkach można taki domek nabyć. Przewodniczący tłumaczy: — ...Spółdzielca otrzymuje od Państwa pożyczkę 24 tysiące złotych. Przez pierwsze sześć lat nie spłaca tego kredytu, po sześciu latach oddaje Państwu po tysiąc złotych rocznie....—No, dobrze, a dacie radę co roku z tymi tysiącami? — przerywa znowu Hulak. Odpowiada z boku brygadier Polus: „Sprzedam tylko jednego bekona i już mam potrzebny tysiączek. W tym roku zakontraktowałem dwa, a i tak potrafiłem zabić świniaka na Gwiazdkę i na Wielkanoc dla siebie".

Hulakowi jeszcze to nie wystarcza. — No, a powiedzcie mi ludzie, co będzie, jeśli taki co sobie dom wybudował wystąpi ze spółdzielni? — Spytajcie się najpierw, kto będzie chciał wystąpić — krzyczy Polus — ja do tego nie będę nigdy miał ochoty. Teraz jest mi dobrze. a dawniej nic nie miałem, tylko musiałem harować jak ten wół...

Aniela wraca do swoich rozmyślań. Ciekawa była, ile też ten Kowalak zarabia na wspólnej gospodarce. — „Oho, rachujcie gospodyni — wyjaśniał.—Wyrobiłem w ostatnim roku czterysta dwadzieścia dniówek. Otrzymałem za to ze spółdzielczego podziału — zapisujcie — 15 kwintali żyta, 6 pszenicy, 6 jęczmienia, 30 kwintali ziemniaków, 20 kwintali buraków pastewnych, 6 metrów drzewa, 40 kwintali węgla i 1400 złotych gotówką... Chcecie wiedzieć jak żyję? Patrzcie, koło nowego domu mam działkę, pięćdziesiąt drzewek owocowych rośnie w moim sadzie, na przyzagrodowym gospodarstwie chowają się dwie krowy i cielak, cztery świnie, trzy warchlaki; a ile mamy kur, gęsi i kaczek, to już spytajcie się o to kobiety, ja się tym nie zajmuję".

Aniela zanotowała sobie dokładnie cały rachunek Wojciecha Kowalaka. Powtórzy go sąsiadom po powrocie do domu. „Dobrze — szepcze sama do siebie — dużo ziemi, pracowici ludzie, zapasy na strychach, radio w chałupie, elektryka, przedszkole, widać że jest dobrze"...

Sobczyszyn ze Starego Dzikowa wypytuje o spółdzielcze krowy. „U nas w całej okolicy takich nie znajdziesz" — zachwyca się. Miejscowi kraśnieją z zadowolenia. — „A na początku mieliśmy tylko siedem, dzisiaj 130 stoi w spółdzielczych oborach, a indywidualnych mamy 80, każda rodzina co najmniej dwie". „Ja sam — wtrąca Polus — odstawiam dwadzieścia litrów mleka dziennie do mleczarni".

Coś się z początku Anieli z tymi krowami nie podobało. Wyraziła nawet głośno swoje wątpliwości: — „Co, 130 krów i tylko czterech ludzi obsługi? Przecież od udoju można ręce stracić". — Próbowała radzić spółdzielcom, ażeby sprzedali część bydła i kupili sobie mechaniczne dojarki. Przekrzyczeli ją. „Niedługo, mamusiu, niedługo i bydło zatrzymamy i dojarki będą, krowy zarobią na maszyny...

KRAJOWE WYCIECZKI CHŁOPÓW

Foto — M. Kornicki

Dyskusja coraz bardziej odrywa od rozmyślań. Franciszka Marczakowa, kierowniczka chlewni, chwali się swoim dobytkiem: „Kiedy zakładaliśmy spółdzielnię, pusto było w naszym chlewie, dzisiaj siedemdziesiąt siedem świń raduje gospodarskie oczy. Widzieliście, jakie spasione. Na wystawę mogą iść. A musicie pamiętać, że co roku odstawiamy zakontraktowaną trzodę państwu..."

Foto — M. Kornicki

Kisz notuje w zeszyciku uwagi o świniach sółdzielczych z Nieczajny. Szepce po raz niewiadomo który: „Dobrze jest, widać że jest dobrze". Sąsiadka przypomniała o polu z rzepakiem. Zapisała: — Rzepak w Nieczajnie bujny, bogaty, wysoko wyrośnięty. Mogą się ludzie cieszyć, będą dobre plony...—Rozpędziła się w pisaniu. Pośliniła ołówek i notuje dalej: — Oglądaliśmy świeżo założony sad spółdzielczy, aże się wierzyć nie chce: dwanaście hektarów owocowych drzewek, grusze, czereśnie, jabłonie i śliwy. Między rzędami młodych drzewek całe pole buraków. Posprzeczałam się z Julią Kusą, że spółdzielcy nieprędko dadzą sobie radę z przerywaniem. Kusa trzymała stronę spółdzielców... Ale jak oni to zrobią, przecież ludzi w spółdzielni nie za dużo, a buraków, zbóż, paszy, rzepaku — szmat.

...Teraz już, ani na rozmyślania, ani na zapisywanie nie było czasu. W zespole gości i spółdzielców rozprawiano o maszynach. Rozpoczął Franciszek Śliwa z Koziejówka (z tego samego co i Kiszowa powiatu). Śliwa z ołówkiem w ręku zaczął obliczać, ile korzyści dają spółdzielni maszyny. Przewodniczący wyjaśniał: „Gdybyśmy na przykład chcieli obsadzić ręcznie 50 hektarów kartoflami, zużylibyśmy na to ze sto dniówek po 16 złotych, czyli wydalibyśmy około 2000 złotych. Tę sumę zaoszczędziły nam maszyny. Spółdzielcy to odczuwają, bo po pierwsze nie narobili się tyle, a po drugie zwiększyła im się dniówka obrachunkowa".

Śliwa trafnie ocenia wartość maszyn: „mniej pracy ludzkiej — większe urodzaje". Przewodniczący tłumaczy dalej: „W naszej spółdzielni nastawiamy się na to, żeby 80 procent pracy przerzucić na maszyny, 20 procent zostawiamy dla ludzi. Byłem niedawno w Związku Radzieckim, radzę i Wam tam pojechać, dopiero byście zobaczyli co mogą zrobić maszyny".

Zaczęliśmy raz jeszcze podziwiać widziane w Nieczajnie nowoczesne maszyny z pobliskiego POM-u: olbrzymi, imponujący kombajn, nowiuteńkie sadzarki do kartofli, maszyny do okopywania, do pielenia i wszystkie inne, których nazwy i przeznaczenie trudno spamiętać. Rzeszowskie kobiet już naprzód cieszyły się myślą, że takie same maszyny ulżą w ich ciężkiej jeszcze dzisiaj pracy.

✻

Słońce chyliło się już ku zachodowi, kiedy opuszczaliśmy gościnną spółdzielnię. Zza okien autobusu mignęły nam na pożegnanie olbrzymie litery, układające się na wiatraku kombajna w zdania: **Pracujemy dla Ojczyzny, pracujemy dla pokoju.**

Jerzy Karpiński

Indie—kraj głodu i walki

(dokończenie ze str. 2)

bez konsekwentnej, zorganizowanej walki o demokrację ludową niemożliwe jest pełne wyzwolenie Indii. Na obecnym etapie nie tylko feudałowie, lecz również i wielka burżuazja Indii przeszła bez reszty do obozu imperializmu tak, jak to się działo w Chinach kuomintangowskich, jak to się dzieje w Burmie, w Indonezji, w Indochinach, na Filipinach. Dziś już kierowniczą siłą o pełne wyzwolenie Indii jest hinduska klasa robotnicza z partią komunistyczną na czele, jak w Burmie, w Indonezji, w Indochinach. Podstawowym sojusznikiem klasy robotniczej w tej walce jest chłopstwo. I chłopstwo podejmuje tę wspólną walkę, która także i w Indochinach przemienia się w powstania: o ziemię dla chłopów bez odszkodowania, o anulowanie długów chłopskich, o dogodny kredyt na zakup narzędzi rolniczych i niezbędnych nasion, o budowę nowych urządzeń nawadniających, o demokratyzację ustroju Indii, o zniesienie obszarniczej własności ziemskiej i nacjonalizację podstawowych gałęzi przemysłu. To program 400 milionów ludzi, wyrwanych z pęt ideologii, reprezentowanej przez małpę Hanuman i krowę Sabala, program Komunistycznej Partii Indii. A „wyzwolenie Indii spod jarzma imperialistów brytyjskich, ich agentów i kolaboracjonistów — jak pisze sekretarz generalny Komunistycznej Partii Indii — będzie dla narodów świata równie wielkim zwycięstwem, jak zwycięstwo narodu chińskiego, odniesione pod przewodem okrytej chwałą Komunistycznej Partii Chin. Nie ulega wątpliwości, że wywalczymy wolność i to znacznie szybciej niż wyobrażają to sobie nasi wrogowie".

Legenda angielska powiada, że Imperium Brytyjskie ma trwać od Elżbiety do Elżbiety. Gdy wierzyć samej legendzie, dni tego Imperium są już policzone. Ale nie trzeba legendy. Większą wymowę mają fakty, przesądzające o losach tego i innych „imperiów" w epoce, w której wszystkie drogi prowadzą do komunizmu. Fakty, które mnoży rosnąca na sile walka narodowo - wyzwoleńcza ludów Indii pod przewodem klasy robotniczej. Fakty mówiące dobitnie, że nie są odległe już dni, w których na odrodzonym kontynencie azjatyckim obok wielkich Chin Ludowych powstaną wolne Ludowe Indie.

Tadeusz Orlewicz

FRANCJA WOŁA

...I gdzieś w tym racja jest głęboka,
Gdy mocarz wzywa przed trybunał
Pieśniarza ludu lub proroka:
Bo oto strzała mściwej kary
Przebijająca pierś ofiary
Na wskroś przebija mrok prastary,
Błyskiem wskazując, gdzie OPOKA.

JULIAN TUWIM

LOUIS ARAGON

FRANCUZ PRZEMAWIA DO FRANCUZÓW

KOMITET Narodowy Pisarzy, a wraz z nim liczni ludzie pióra wznieśli swój protest przeciw gwałceniu sprawiedliwości, znieważaniu godności człowieka i godności pisarza. Dzienniki amerykańskiej metropolii, skąd płyną rozkazy dla rządu zwanego francuskim, oświadczają, że Stil został aresztowany, ponieważ otrzymał nagrodę międzynarodową analogiczną do nagrody Nobla — Nagrodę Literacką Stalina za powieść P i e r w s z y C i o s.

Trzymanie André Stila w więzieniu jest zniewagą Republiki i Francji. André Stil musi być zwrócony swym bliskim. André Stil musi odzyskać swobodę słowa. Inaczej każdy Francuz, każdy pisarz, każdy dziennikarz będzie zagrożony przez samowolę, będzie na łasce byle Robineta i byle Brune'a.

Nie wiedząc jeszcze o postanowieniu uwalniającym Jacques Duclos, André Stil w odpowiedzi na artykuł François Mauriaca napisał z więzienia wielki, wspaniały list. W międzyczasie François Mauriac oświadczył w tym samym F i g a r o, gdzie sąsiaduje z denuncjantem: R u c h O p o r u t o N a r ó d. Tak, Mauriac, tak jest istotnie. Ruch Oporu, dziś tak jak wtedy, oporu dyktatowi okupanta, oporu w obronie niepodległości Francji i pokoju świata — to Naród. Naród, którego głos usłyszeli sędziowie izby oskarżeń, a jej przewodniczący sam dzisiaj jest z tego właśnie powodu zagrożony. Naród, który poznaje swoich po ich czynach, Naród, który połączył na zawsze d'Estienne d'Orvesów i Gabrielów Peri i który dziś żąda wolności André Stila od tych, co gwałcą Konstytucję, przywracają ustawy Vichy, marzą o pozłoceniu gwiazd zdrajcy Pétaina świętymi popiołami zmarłych bohaterów, wydają Ojczyznę sklepikarzom Jankesów, ich generałom i brunatnej dżumie.

Nie wiem, czy Mauriac usłyszy ów głos, co płynie z więzienia, a brzmi głosem Francji, ów głos mówiący tą mową francuską, na którą pisarz nie może być niewrażliwy. A głos ten zwraca się jednocześnie do ciebie, do tego ciebie, którego miałem odwiedzić w 1941, Duhamelu, oraz do ciebie, któryś uważał się za mojego przyjaciela, André Rousseaux, i aż do ciebie, Malraux... Czy jeszcze słyszycie głos Narodu, głos Ruchu Oporu? André Stil w więzieniu, czy nie jest to dla was hańba?

Czy wzniesie się wasze słowo, was ludzi „na tymczasowej wolności" w tym kraju, naszym kraju, gdzie nikt już nie jest pod osłoną prawa i Konstytucji, gdyż decyduje o nich generał Dżuma?

Louis Aragon

ANDRÉ STIL **więzień stanu**

DO FRANÇOIS MAURIACA NA TYMCZASOWEJ WOLNOŚCI

NA łamach F i g a r o napisał pan artykuł o represjach przeciw komunistom. Napisał pan na tym samym miejscu, gdzie w przeddzień mego aresztowania, p. Robinet zapowiedział je i przygotował — w postaci rady dla rządu.

A zatem, pisząc o zbrodni, czyni to pan w obozie katów. To jasne. Ale obóz katów ma swoje punkty słabe; a i pan również nie czuje się wcale mocny. Kaci mocni, czy też ci, co myślą że są mocni, zasługują nie na pogardę, lecz na nienawiść. Otóż w panu nie ma uczucia, by na nienawiść zasłużyli. Co zaś do pogardy, uznanie jakim darzył pana naród cały przez cały długi czas za jedno proste zdanie — „Jedynie klasa robotnicza w masie swej pozostaje wierna Francji sprofanowanej" — zapewne nasuwa panu myśl, że jak długo klamra pańskiego życia nie została domknięta, ma pan zawsze możliwość taniego okupu; że jutro wystarczy panu nowe dość gładkie zdanie, by w oczach tego narodu zachować uczciwość. Gdyż sam pan wie najlepiej, że w dobrze urządzonym świecie, który patrzy przed siebie, nie zaś poza siebie i gdzie nadzieja i zapał liczą się zawsze bardziej, aniżeli uraza, drobnym uczynkiem dzisiejszym okupić można wiele zła wczorajszego. Oto dlaczego u swych antykomunistycznych przyjaciół budzi pan czasem podejrzenie, że na spodzie gdzieś na samym spodzie, mniej pan się boi przyszłości komunistów, niż krańcowej starości swojego świata — pan, który tak dobrze wie jak pewien sposób starzenia się czyni pełnym złości. A niektóre zdania, jakie nie tak dawno napisał pan o Piotrze Courtade, o Roger Vailland, czy Aragonie, każą przyjaciołom pańskim myśleć, że te głośne okrzyki przeciw komunistom wznosi pan głównie z obawy posądzenia, iż niedość głośno pan krzyczy. Albowiem represje przeciw komunistom stawiają nie tylko sprawę „wolności komunistów", ale i sprawę własnej wolności, własnego życia ludzi takich jak pan.

Tak więc, wielki pisarzu francuski, w miesiąc po samowolnym aresztowaniu sekretarza największej w naszym kraju partii, partii komunistycznej, napisał pan — i historia to zapamięta — sławetny artykuł. Cóż za artykuł!

Zapamiętać zeń najpierw należy co w takiej sytuacji uznał pan za rzecz najpilniejszą: już od pierwszych słów obciąża pan w miarę swych sił uwięzionych komunistów. Nie przymierzając, czyni pan swoim piórem to, co czyniły piękne damy z Wersalu, gdy końcem parasolki wykłuwały oczy zamordowanych komunardów. Kiedy opluwał pan nieszczęśników, to już było nieźle; ale pluć na skowanych! Cóż za polemika sępa!

Faktem jest, że istnieje nieubłagana dialektyka represji, którą na wielu przykładach, począwszy od francuskich, zanalizował przed stu z górą laty wielki bardzo pisarz. Jeśli pan nie ma go w swej bibliotece, jest pan w czasach obecnych zabezpieczony przed jednym jeszcze poważnym ryzykiem. Gdyż był to Karol Marks, który wykazał na przykład w jaki sposób partia porządku po skrwawieniu proletariatu w dni czerwcowe 1848 i otwarciu drogi Napoleonowi III swą polityką reakcyjną była wynagrodzona za to przez historię: „A w końcu sami arcykapłani „religii i porządku" zostają spędzeni kopnięciem ze swoich pytyjskich trójnogów, w środku nocy wyciągnięci z łóżek, zamknięci w karetce aresztanckiej i wrzuceni do więzień, lub zesłani na wygnanie. Ich świątynia jest zrównana z ziemią, usta zakneblowane, ich pióro złamane, ich prawo rozdarte — w imię religii, własności, rodziny i porządku. Pijana tłuszcza żołnierska rozstrzeliwuje stojących na swoich balkonach mieszczan - fanatyków porządku, profanuje świętość ich ognisk domowych, bombarduje dla zabawy ich domy — w imię własności, rodziny, religii i porządku. Aż wreszcie odpadki społeczeństwa burżuazyjnego tworzą ś w i ę t ą f a l a n g ę p o r z ą d k u i bohater Krapuliński) wkracza do Tuileries jako zbawca społeczeństwa".*

A potem, za represjami nadciąga faszyzm, nadchodzi wojna. I wówczas czyż pan sam, nawet pan, panie Mauriac, nie będzie jednym z czterdziestu kilku milionów Francuzów, którzy w dniu rozbicia nie znajdą wyjścia zapasowego z Francji? Gdyby zaś pan go szukał — z pewnością jakiś osobnik o twardych łokciach, nowy Krapuliński, czy twardogłowy krytyk, specjalista od Salonów Jesiennych i teatru Ambigu, odepchnie z łatwością pana, intelektualistę, ba! arcykapłana — i zajmie pana miejsce w ostatniej taksówce ostatniego wieczoru, tuż przed słynnym fajerwerkiem francuskim zapowiedzianym w programie Fechtelera. I wtedy — czy widzi pan już bombę atomową nad pana dachem, ważącą się za i przeciw, na kształt pańskich artykułów i spadającą w końcu, znów na kształt pańskich artykułów, na pana sąsiada — komunistę?

Nie. Czy pan tego pragnie czy nie, z wyjątkiem garści całkowitych zdrajców, wszyscy Francuzi niekomuniści — nawet pan — znajdują się w jednej łodzi z komunistami.

Gdy klasa robotnicza jest trzonem narodu, nie można przyłożyć siekiery, by nie wstrząsnęło się całe drzewo. Oto dlaczego, panie Mauriac, podczas gdy pan kołował jak w klatce w swym artykule nie chcąc widzieć otwartych drzwi, inni pisarze francuscy, niekomuniści stawali w obronie honoru, trochę i pana honoru, gdyż wśród nich jest wielu pańskich przyjaciół. Protestując w liście do Prezydenta Republiki przeciw aresztowaniu Jacques Duclos, niewątpliwie ściągnęli na siebie, jakby na potwierdzenie mych słów, swoją porcję gróźb. Tym razem w „Rassemblement" de Gaulle'a znalazł się jakiś Routang zapowiadający im śledztwo: „Wasza dziwaczna skłonność do służenia zamysłom imprezy stalinowskiej zostanie może pewnego dnia wyświetlona, zarówno jak względy, którymi powoduje się światowiec z Akademii, p. André Maurois, współpracując z organem literackim Kominformu „Les Lettres Françaises". Nic w tym nie ma nowego. Już Stendhal mówił o „owym duchu sprawiedliwości nie czyniącej różnic i wyjątków, który markiz nazywał haniebnym jakobinizmem".

Ale pisarze ci, panie Mauriac, zajmując odważnie stanowisko, tym samym przyczyniają się do oddalenia gróźb, którymi się chce ich zastraszyć. Mogą więc bez rumieńca czytać te słowa Zoli: „Prawda ma w sobie potęgę, która łamie wszelkie przeszkody. I, jeśli się staje jej w drodze, jeśli się nawet zdoła zagrzebać ją w ziemi na jakiś dłuższy czas, narasta tam i wzbiera tak gwałtowną potęgą, że w dniu kiedy wybuchnie, wysadzi wszystko w powietrze. Spróbujcie dać jej dojrzewać jeszcze kilka miesięcy pod stosem kłamstw, lub też w zamknięciu, a zobaczycie, jeśli nie przygotowujecie przyszłości, najdonioślejszą z katastrof".

Co do mnie — jako pisarz komunistyczny uwięziony za napisanie dziesięciu słów, uznanych najpierw za „wzywanie do zbiegowisk" po kilku dniach — za „podburzanie do gwałtu", po dalszych kilku dniach — za „zamach na bezpieczeństwo wewnętrzne państwa" — a kto wie czy wkrótce nie: „zamach na bezpieczeństwo zewnętrzne" — kilku słów uważanych za tak niebezpieczne i groźne, że trzeba je będzie, może, sądzić w zamknięciu sądu wojennego — widzę w proteście pisarzy niekomunistów przeciw aresztowaniu Jacques Duclos jedno jeszcze potwierdzenie naszej wiary w przyszłość prawdziwej kultury narodowej, bogatej całą wielorakością narodu.

To wszystko.

André Stil

*) Bohater satyrycznego wiersza Heinego „Dwaj rycerze".

MARIA ŻMIGRODZKA

WYBITNE OSIĄGNIĘCIE REALIZMU SOCJALISTYCZNEGO

Igor Newerly

NOWA powieść Igora Newerlego stanowiła doniosłe wydarzenie literackie miesięcy, w których ukazywała się w kolejnych zeszytach „Twórczości". Nosiła wtedy tytuł „Pamiętnik z Celulozy". Zarówno tytuł jak sytuacja wyjściowa utworu, jak wreszcie zasadniczy typ konstrukcji książki, wskazywały na świadome nawiązywanie do jednego z najcenniejszych dla rozwoju współczesnej literatury nurtów piśmiennictwa, do autentycznej biografii człowieka pracy — do robotniczego pamiętnika. Wybór tej formy narracji i sposób ukształtowania materiału literackiego nie są przypadkowe, nie można ich też tłumaczyć wyłącznie wzmożonym zamówieniem na robotniczą autobiografię, rozkwitem tego gatunku w przełomowej książce Lucjana Rudnickiego, w „Biblioteczce racjonalizatorów", w PIW-owskiej serii „Wspomnień robotniczych". Pamiętnik robotniczy to obecnie najpopularniejsza forma masowej ludowej twórczości, głos najlepszych przedstawicieli mas ludowych, wypowiadających ocenę nowego i potępienie starego, wznoszących się do pełnej świadomości klasy zmieniającej świat, umiejących we własnych losach dostrzec ślady wielkiego pochodu historii. Fakt, że Newerly oddał głos świadomemu bojownikowi klasy robotniczej, by opowiadał, a jakże często i komentował własne doświadczenia, wskazuje jak wielką wagę przywiązuje do ludowego widzenia i ludowej oceny rzeczywistości tej najwyższej miary realizmu. Powieść nie stała się jednak bynajmniej autentykiem — cennym, porywającym bogactwem i prawdą, ale ograniczonym do jednostkowych doświadczeń, pozbawionym szerszych uogólnień. Sugestie takie mogłyby co prawda wypływać ze zmiany tytułu, który w wydaniu książkowym przybrał formę „Pamiątki z Celulozy" — (czytelnicy odczuli to na ogół jako posunięcie niezbyt fortunne), takie ujęcie sugerują też wstępne wyjaśnienia autora, tłumaczącego cel odtwarzania losów bohatera: „Nie dla rozrywki ani dla sztuki — to jasne, o tym się u nas już mówiło. Pamiątka po czasach, które przeminęły. Dokument, budowla zabytkowa"... Książka nie idzie jednak po linii tych niezbyt słusznych postulatów, opartych chyba na jakimś nieporozumieniu słownym. Jej wartość, jej — nie wahajmy się użyć tego słowa — wielkość polega właśnie na tym, że pisana jest dla sztuki, tak jak ją rozumieć należy — dla mądrej i pięknej Sztuki, uczącej rozumieć życie, uczącej rozumnie i szlachetnie żyć.

Cel ten osiągnął pisarz stosując ciekawy typ konstrukcji: wiążąc części, ujęte w formę autobiograficznej relacji bohatera z obszerniejszymi od nich partiami narracji odautorskiej i scenkami rozbudowującymi ważniejsze elementy doświadczeń Szczęsnego. Ta forma bardzo specyficzna i bardzo trudna do naśladowania, grożąca przy każdym potknięciu niebezpieczeństwem maniery w książce Newerlego stosowana z dojrzałym mistrzostwem, otworzyła przed nim nowe możliwości artystyczne. Pozwoliła mu połączyć bezpośredniość, sugestywną żarliwość, liryzm pamiętnika, a także ideową wartość tradycji wspomnień rewolucjonisty od Kona po Rudnickiego, z możliwościami szerokiego epickiego kształtowania obrazu rzeczywistości, jakie daje swobodna forma obiektywnej narracji odautorskiej. Pozwoliło to wreszcie autorowi wprowadzić wiele niedostępnych dla pamietnika artystycznych środków uogólnienia i komentarza ideowego, specyficznie literackich, dalekich od prymitywizmu wkładek o charakterze publicystycznym.

Niezmiernie bogaty, barwny, wyrazisty obraz świata, jaki dał pisarz równie jak i jego bohater „łapczywy na życie", znający doskonale życie mas ludowych, mający szczególny dar zamykania w oszczędnym skrócie bogatej treści obyczajowej, nie traci ostrych celowych konturów tematycznych, nie gubi się w rozlewnej relacji epickiej. Urzekające bogactwo faktów i obserwacji podporządkowane jest bowiem naczelnej sprawie, losom dojrzewania ideowego tego marnotrawnego syna klasy robotniczej. W powieści Newerlego szczegóły nie były w stanie uzyskać autonomii i równorzędnego znaczenia, ani w zakresie konstrukcji autobiografii, ani w obrazie epickiego zaplecza. Wzajemne oddziaływanie na siebie konstrukcji pamiętnika i szerokiego obrazu epickiego określonego fragmentu dziejów proletariatu uwydatniło się w fakcie, że każda z postaci występuje o tyle tylko, o ile związana jest bezpośrednio z losami Szczęsnego i tylko w roli znanej podówczas bohaterowi. Poza Szczęsnym nie ma w powieści innych samodzielnych postaci działających, poza drogą jego doświadczeń nie ma innej drogi zarysowania wiedzy o rzeczywistości. A jednak książka ma mimo tego ograniczenia konstrukcji zakrój i doniosłość epopei. Składa się na to w pierwszym rzędzie fakt, że ukazała najgłębszą prawdę opisywanego czasu, jego najdonioślejszy proces — formowanie się nowego człowieka — człowieka bojownika, człowieka mającego zmienić teraźniejszość narodu. Bohatera swego ukazał Newerly w uzależnieniu od najgłębszego nurtu historii, od procesu walki partii, przodującej siły postępu oraz w ścisłym związku z życiem mas pracujących całego narodu. Powieść o partii i powieść o nowym człowieku nie ma charakteru obrazu wąskiego, wyeliminowanego z szerszego procesu historycznego, sekciarskiego, właśnie dzięki bogactwu epickiego obrazowania życia, dzięki umiejętności przełamania ograniczeń konstrukcji wyłącznie autobiograficznej. Współpraca ludowego narratora, opowiadającego o swej zdobytej w ciągu burzliwego życia prawdzie i dojrzałości pisarza, łączącego wiedzę o życiu z umiejętnością artystycznego jej ukształtowania i uogólnienia — to szczęśliwe założenie kompozycyjne, których realizacja stała się jedną z przyczyn osiągnięć ideowo artystycznych „Pamiątki z Celulozy".

Szczęsny — jedyny bohater książki, to człowiek, który ma w założeniach autora „starczyć za tysiące". Założenie to pisarz zrealizował nadając bohaterowi pełną reprezentatywność w dużej mierze dzięki temu, że zarysował jego mozolną drogę dochodzenia do pełnej świadomości klasowej i do zrozumienia konieczności walki, że nie uczynił z niego bohaterskiego monolitu, przykładnej a nieomylnej encyklopedii wiedzy politycznej. Szczęsny błądzi po manowcach, odpychany od słusznej drogi dziwacznymi perypetiami prywatnego życia, ideową ograniczością swego półchłopskiego środowiska, naciskiem ideologii burżuazyjnych, własnym porywczym i buntowniczym charakterem.

Historia jego buntów i złudzeń mimo doskonałej i odkrywczej indywidualizacji ma pełną reprezentatywność dla trudnych dróg, na jakich w społeczeństwie klasowym, wśród konkurencji wrogich idei, w hałasie wrzaskliwej propagandy burżuazyjnej, proletariusz szukać musi właściwego klasowego widzenia świata i właściwej postawy rewolucjonisty.

Ale powrót Szczęsnego do „swoich", zdobycie jasnej świadomości gdzie jest jego miejsce i jego życiowy obowiązek, to ilustracja procesu historycznego rosnącego napięcia rewolucyjnego mas, ilustracja tezy, że robotnik wrogi kompromisom, uczciwy w stosunku do towarzyszy drogę tę pod naciskiem historii prędzej czy później znajdzie. Problem społecznego uwarunkowania losu człowieka, symbolizowany obrazem myślącego kamienia, ciśniętego dłonią historii, to nie tylko refleks młodzieńczych dyskusji z przyjacielem „o wolnej woli" i Spinozie, ale i wytłumaczenie różnych dróg rozwoju przyjaciół z Symbirska — proletariusza Szczęsnego znajdującego drogę do KPP i Jurka — inteligenta, porwanego początkowo emocjonalnie rozmachem rewolucji, a po powrocie do kraju grzęznącego zwolna w ślepym zaułku pacyfizmu.

Najcenniejszym chyba osiągnięciem artystycznym Newerlego jest utrzymanie właściwej miary w zarysowaniu postaci Szczęsnego. Miary nie tylko w stosunku między jego typowymi a indywidualnymi cechami, ale i między powszechnością, reprezentatywnością jego odczuć i reakcji, a pięknym i celnym a pozbawionym fałszywego patosu momentem heroizacji, gdy na barykadzie Włocławka Szczęsny staje się prawdziwym bohaterem swej klasy, gdy dojrzewa ta natura „walcząca, dumna, bez ugody", gdy staje się jednym z tych „co wyrastają z mas, są ich wolą, niekiedy legendą..." Między niebezpieczeństwami naturalistycznej „przeciętności" z jednej a fałszywej idealizacji z drugiej strony potrafił autor wybrać właściwą drogę zobrazowania pełni ludzkich uczuć bohatera, jego zwycięstw i klęsk, jego mądrości i naiwności, jego siły — i wszystkich jego ludzkich słabości.

Droga Szczęsnego do partii to jednocześnie droga jego dojrzewania duchowego, to proces formowania się pięknego człowieka, wybierającego uczciwą drogę, która pozwoli mu „przeżyć jak człowiek".

Książka Newerlego to nie jest powieść o partii w tym sensie, aby dawała obraz najistotniejszych problemów jej działalności, jej wzrostu i rozwoju, upadków i zwycięstw. Z bogatej problematyki związanej ze sprawą KPP w dwudziestoleciu międzywojennym wyodrębnił Newerly jedną sprawę: pokazał jak związek ze zorganizowaną walką mas ludowych jest jedyną drogą ocalenia godności ludzkiej człowieka — jak wszystkie inne formy bądź ugody, bądź samotniczego, jednostkowego buntu prowadzą i prowadzić muszą do poniżenia i demoralizacji. Demonstrują tę tezę losy Szczęsnego i losy ludzi, którzy weszli w jego życie. Szczęsny nie rozumiejący rewolucji rosyjskiej pod wpływem małomieszczańskich biadań ojca i legend porucznika - legionisty o odrodzonej sprawiedliwej Ojczyźnie pielęgnował marzenie o własnym kraju o sprawiedliwości „komendanta" o solidarności i jedności „rodaków" nawet wtedy, gdy doświadczenia życia w kraju podsuwały natrętnie w to miejsce obraz inny — obraz kułackiego wyzysku w wymarzonym Rzekuciu zamiast sielanki obiecywanej przez pamiątkowy dworek, obraz „łączki bezrobotnych" i robotniczych zlemlanek w miejsce legend o „Ameryce" we Włocławku, gdzie robotnicy mają się dorabiać własnych samochodów dla robotników. Marzenia o obronie Ojczyzny, o bohaterstwie, o uznaniu „komendanta" i wydźwignięciu się z dna poczęły się jednak chwiać gdy bandyta Sosnowski tłumaczył mu parszywą mądrość lumpa: „Nic się nie zmieni. Żyd zostanie Żydem, Polak, Polakiem, biedny przy biedzie, bogaty przy bogactwie, a ty zdechniesz przy robocie! Albo bez roboty — tak też można—... Kto się pozna na tobie, kto przyjdzie z pomocą. Jeden chyba złodziej—Sosnowski..." Służba wojskowa, bestialskie prześladowania ze strony oficerów i „zupaków", poniewieranie „obrońcą Ojczyzny" były ostatnim ciosem dla dawno już nadwątlonych złudzeń. Widok ludzi zdeprawowanych przez moralność burżuazyjną, sprzedanej chydnemu mężowi Zochy Czerwiakowej, magistra Biernackiego, z „duszą o dwa numery za małą", komisarza z policji sanacyjnej wrastającego w świat bandycki, kazał mu stworzyć sobie mit „człowieka bez rąk", mit, że można nie krzywdząc nikogo i nie poniżając własnej godności pracą i wytrwałością uzyskać ludzkie warunki życia i usunąć się spod surowych praw walki klasowej. Ten mit rozbił się właśnie o człowieczą godność Szczęsnego o jego niezdolność do opuszczenia gnębionych towarzyszy. Z przydomkiem „bolszewika" opuszczać musi miejsca pracy tracąc wszelkie szanse kariery w społeczeństwie burżuazyjnym, przekonując się, że na liberalno - humanitarne złudzenia pozwolić sobie można tylko w domku emeryta — prowincjonalnego doktora Chrobotka, albo w stróżówce Babury, dobrego „staruszka z Dickensa", spokojnego dlatego tylko, że częściej odwiedza cmentarz niż żywych, udręczonych ludzi. W walce dopiero odnalazł Szczęsny i swoją dumę i godność i prawdziwą miłość i przyjaźń. Znikł dylemat: wegetacja czy służalstwo, właściwe ujście znalazły marzenia o bohaterstwie.

Obraz walki włocławskiego proletariatu, oparty na doskonałej znajomości tradycji tego żywego ośrodka rewolucyjnego ruchu w dwudziestoleciu, jest w książce Newerlego przykładem doskonałej umiejętności rzutowania faktów fabularnych na szerokie tło historyczne — bez rozrywania narracji powieściowej partiami historycznego wykładu. A jeśli już pojawia się w książce referat historyczny, jak w wypadku scenki na zebraniu partyjnym, poświęconym omówieniu sytuacji w Niemczech, to bynajmniej nie dlatego, że autorowi zabrakło innych środków służących do zasygnalizowania międzynarodowej sytuacji politycznej. Referat tow. Prostego to niezbędna część akcji powieści. Reakcja słuchaczy na relację o zbrodniach faszyzmu stanowi miernik ich partyjnej postawy; jej zobrazowanie przygotowuje w powieści zdemaskowanie prowokatora. Także wezwanie do walki o uwolnienie Dymitrowa, instrukcje w sprawie jednolitego frontu reprezentują ważny etap w indywidualnym rozwoju świadomości Szczęsnego, podstawę dla przemyśleń na temat jego pracy agitatorskiej, na temat stosunku do bezpartyjnych robotników. Dlatego wzmianki o światowym ruchu rewolucyjny, o światowym froncie antyfaszystowskim, nie tylko poszerzają perspektywy powieściowego obrazu i umiejscawiają go historycznie — ale właśnie tłumaczą sprawy najbliższe, dla Szczęsnego najistotniejsze, ukazują naocznie i bez blagi międzynarodową solidarność proletariatu, rzutują bez szumnej deklaratywności sprawy Włocławka na szerokie tło antyfaszystowskiego ruchu, w Europie.

W książce Newerlego niezbyt wiele stron — poza kulminacyjnym fragmentem życia barykady na Królewieckiej, poświęcono dokładnemu i szczegółowemu zobrazowaniu całego toku walki Partii — a jednak wydaje się nam, że przeczytaliśmy grube tomy o etapach rozwoju ruchu rewolucyjnego we Włocławku. Tak sugestywna i mistrzowska jest umiejętność Newerlego zastępowania dużych partii wyczerpujących i najczęściej publicystycznych opisów — doskonale osadzonymi w akcji krótkimi aluzjami i wzmiankami, które sumując się i uzupełniając wzajemnie tworzą wielkie, tętniące życiem panneau, odzwierciedlające dokładnie nie tylko dynamikę wzrostu, ale i miejscową specyfikę walki proletariatu Włocławka.

Miasto Juliana Marchlewskiego, w jego czasach, miasto flisaków i składów zbożowych, zacofane i nieuprzemysłowione, stało się z czasem sporym jak na warunki polskie ośrodkiem fabrycznym, szkołą walki klasowej dla rzesz okolicznego proletariatu i półproletariatu wiejskiego. Miasto pachniało—zależnie od kierunku wiatru — kawą od Bohma lub ługiem z „Celulozy", powiększało się o nowe dzielnice, zabudowywane budkami i ziemiankami bezrobotnych, przeżywało burzliwe wydarzenia polityczne. Tylko Wisła płynęła po równinach kujawskich piękna i bliska jak za czasów Juliana i flisacy spychali tratwy z mielizny z okrzykiem „wara śtyborku!" Newerly, przenikliwy badacz nowego we Włocławku, znawca zarówno machinacji potentatów przemysłu jak i dróg oporu krzywdzonych, nie zubożył obrazu ukazywanego środowiska przez pominięcie zrośniętego z nim krajobrazu, ani też przez zignorowanie nierozdzielnie z Wisłą związanych wysepek dawnego tradycyjnego życia i obyczaju flisackiego.

„Rezerwat" flisacki nie został jednak potraktowany przez Newerlego jako strzępek dawnego patrjarchalnego świata; i tu pisarz wskazał na istnienie normalnego wyzysku kapitalistycznego, „normalnego" stosunku wyzyskiwacza i wyzyskiwanego między „retmanem" a „chłopem".

Krajobraz Newerlego bogaty i subtelnie cieniowany nie ma nigdy charakteru ornamentacyjnego, jest zawsze shumanizowany, podporządkowany człowiekowi, ukazywany przez pryzmat jego odczuć i reakcji. Obraz wiosny nadwołżańskiej, kojarzący się u Szczęsnego z szaleństwem „razruchy" stanowi dobitny przykład umiejętności wydobycia w prosty sposób nowych walorów metaforycznych, odświeżenia i nasycenia żywą treścią emocjonalną utartego rzekomo porównania rewolucji i rozhukanej wiosennej powodzi. Najpiękniejsze jednak, najmocniej przepojone niebanalnym liryzmem i miłością ziemi rodzinnej są opisy krajobrazu nadwiślańskiego. Newerly przemówił tu tonem, którego tak brakowało naszej współczesnej literaturze — nieraz oschłej i skąpej w wyrażaniu uczuć.

Dyscyplina pisarza, sprawność w selekcji materiału, mistrzowska umiejętność skrótu powoduje, że mimo całego niezmierzonego bogactwa obrazów i obserwacji, mimo różnorodności środowisk, masy sylwetek ludzkich, utwór nie nasuwa wrażenia natłoku, chaosu, jakiejś „latarni czarnoksięskiej" na modłę starej powieści. W jednym tylko momencie zawiódł nas trochę pisarz w bardzo istotnej sprawie — sprawie radykalizacji ruchu ludowego w latach trzydziestych. Kwestie wsi Newerly niejednokrotnie doskonale wplatał w losy Szczęsnego. Jego biedniackie pochodzenie, marzenia ojca o ziemi, postawa „chłopskiej partii" wobec walki robotników Celulozy, wreszcie stosunek radykalnego chłopstwa do KPP-i KZM-u — te sprawy udało się pisarzowi ukazać, jeśli nie w pełni wyczerpująco (co zresztą nie było konieczne), to w każdym razie sugestywnie na materiale autobiografii Szczęsnego. Ale też i na tym wyczerpała się nośność biografii Szczęsnego w stosunku do spraw wsi. I tu też wystąpiła jedyna u Newerlego kolizja między możliwościami pamiętnika a postulatami szerokiego obrazu epickiego rzeczywistości międzywojennej. Obchód nowosielecki musiał się znaleźć w powieści dla pełni obrazu, autor jednak nie znalazł dla niego należytego zaczepienia w kolejach losu bohatera. Stąd Newerly oparł uzasadnienie obrazu chłopskiej demonstracji w powieści na przypadkowym spotkaniu, stąd zamieścił ją po opisie walki na barykadach Włocławka, w momencie, gdy linia akcji opada (Szczęsny zdecydował się już na wyjazd do Hiszpanii); stąd relacja o zjeździe nowosieleckim ma charakter reportażu, pozbawiona jest właściwej innym partiom powieści dynamiki i wyraźniejszej akcji. Pisarz nie ukształtował w pełni biografii bohatera tak, by mogła w sobie w naturalny sposób pomieścić także i doświadczenie nowosieleckie.

Specjalne nowatorstwo gatunkowego połączenia w powieści Newerlego lakonicznej, ale doskonale zindywidualizowanej relacji pamiętkarskiej oraz bogatej narracji odautorskiej, zmierzającej w stronę epickiej pełni obrazu świata, przejawiło się także i w stylistycznym ukształtowaniu utworu.

Komentarz, jaki do swych losów dodaje Szczęsny, ma charakter krótkiego wyjaśnienia, czasem samokrytyki. Komentarz autorski nigdy prawie nie występuje bezpośrednio, a jednak pisarz bynajmniej nie rezygnuje ze swej wszechwiedzy; nie rozrzuca wypadków na los szczęścia; panuje nad tokiem narracji; wybiega nieraz w przyszłość, ukazując perspektywy rozwoju pewnych zjawisk; wyraźnie wypunktowuje ważniejsze etapy doświadczeń Szczęsnego, przeciwdziała żywiołowości biografii. Do tego celu służy Newerlemu najczęściej zabieg konstruowania sytuacji o symbolicznej wymowie. Newerly jest z pewnością mistrzem w operowaniu realistyczną symboliką, która tu polega najczęściej na hiperbolicznym podkreśleniu jakiejś cechy typowej, reprezentatywnej dla zasadniczego sensu losów bohatera. Wyrazistych ujęć metaforycznych jest w książce niezmiernie wiele. Przysparzają jej one artystycznego bogactwa, wzmagają wielorakość i różnorodność środków pisarskiego wyrazu, oddziałują na czytelnika nierównie mocniej niż jakiekolwiek autorskie deklaracje. Niemniej bogaty jest język powieści. Dawno już nie mieliśmy w literaturze polskiej pisarza, który by swobodnie operował tak olśniewającym bogactwem leksykalnym, taką znajomością gwar i „powiedzonek" lokalnych i zawodowych, taką umiejętnością celnej indywidualizacji społecznej języka postaci powieściowych. Przy swojej odkrywczości leksykalnej język Newerlego nie traci nigdy charakteru języka ogólnonarodowego, nie staje się w żadnym wypadku zlepkiem niezrozumiałych „wyrażonek". Często Newerly sygnalizuje odrębność gwarową tylko przez kadencję zdania; nieraz przy pomocy kilku charakterystycznych zwrotów osiąga pełnię indywidualizacji języka. Ale nie w tym tylko tkwi specyfika powieści Newerlego, łączącej precyzję i celność języka z jego bliskością mowie potocznej, żywemu doświadczeniu językowemu mas ludowych; wzbogacającej kulturę językową czytelnika, wyczulającej jego wrażliwość na bogactwo i giętkość mowy ludu, na jej celność i humor. Mistrzostwo językowe Newerlego przejawia się również w stylistycznym ukształtowaniu narracji odautorskiej. Newerly nie zachowuje na ogół tzw. „epickiego dystansu" w relacji o czynach i przeżyciach swego bohatera. To nasyca tok jego prozy wielką bezpośredniością. Z drugiej strony przesycenie narracji elementami rozmyślań i refleksji bohaterów, partiami mowy pozornie zależnej — nie prowadzi w żadnym wypadku do efektów znanych nam z praktyki wielu pisarzy 20-lecia, jak np. Boguszewska, gdzie świat obiektywny znika w potokach lirycznego bełkotu każdego z bohaterów. Że podobne składniki relacji odautorskiej nie pełnią u Newerlego funkcji arealistycznej, wynika to zarówno z innego rozumienia psychologii postaci powieściowych, jak i z umiaru i taktu autora, umiejącego oszczędnie dawkować ten typ ujęcia powieściowego. Chwyt ten u niego wzmaga realizm powieści, zbliża do jej bohaterów, pozwala wniknąć w ich myśli i przeżycia — bez zatarcia realnych, obiektywnych wymiarów rzeczywistości. Swoisty, oryginalny typ narracji i konstrukcji powieściowej to jeszcze jeden wybitny walor tej powieści, stanowiącej niewątpliwie najwyższe dotychczas osiągnięcie powieści polskiego realizmu socjalistycznego.

Maria Żmigrodzka

GRZEGORZ TIMOFIEJEW

Kronika radziecka

O radzieckim szkicu literackim

MOWA o szkicu, o tym popularnym i chłonnym gatunku literackim, który graniczy zarówno z reportażem jak i z publicystyką dziennikarską, a zarazem sięga niekiedy szczytów noweli. Szkic w literaturze realizmu socjalistycznego działa na pierwszej linii frontu społecznego i to w sposób jak najbardziej aktualny, biorąc za punkt wyjścia sprawy na pozór drobne, codzienne lecz ważne. Siła szkicu leży w umiejętności uogólniania.

Krytyka radziecka ujmuje następująco charakter i zadania szkicu: „Szkice na temat nowatorów przemysłu i gospodarstwa rolnego, na przykładzie życia rzeczywistych robotników i kołchoźników, pokazują, jak można i jak należy walczyć o nowe i jakie możliwości daje każdemu nowatorowi nasz ustrój radziecki. Szkice te pomagają wielu ludziom w ich twórczych czynach nie tylko w kraju radzieckim, ale i w krajach demokracji ludowej, w których szkice cieszą się dużym powodzeniem. Z drugiej strony, w chwili obecnej, kiedy siły światowej reakcji czynią wszystko, aby oczernić kraj socjalizmu, szczególnie potrzebne są ścisłe materiały obrazujące życie naszego narodu. Ścisła informacja, ścisły szkic artystyczny, filmy dokumentarne — to wszystko staje się potężną bronią w walce Związku Radzieckiego o pokój na całym świecie. Fakty życia mówią na naszą korzyść, dlatego mamy obowiązek przedstawić te fakty całemu światu".

Prasa radziecka poświęca zagadnieniom szkicu wiele miejsca. Czołowe pisma literackie („Nowyj Mir", „Litieraturnaja Gazieta") publikują szkice prawie w każdym numerze. Szkice drukuje także „Prawda". Ostatnio „Litieraturnaja Gazieta" w nr 67 z czerwca br. w artykule pt. „Uwagi o szkicu" podsumowała zalety i braki omawianego gatunku literackiego.

Rozważania swoje „Litieraturnaja Gazieta" opiera na konkretnym materiale. W ciągu ostatniego półrocza ukazało się wiele szkiców. Wśród nich wymienić należy: szkice i pamflety J. Gałana, „W drodze i w domu" W. Połtorackiego, „Światła nad Chinami" J. Jermaszowa, „Walczące Chiny" K. Simonowa, „O pokój" J. Erenburga, „Ameryka od strony kuchennych schodów" N. Wasiljewa, „W Korei" oraz „W kraju ludów" A. Pierwiencewa, „W Niemczech po wojnie" J. Korolowa, „W Niemczech" W. Wasilewskiej, „Włoskie wrażenia" P. Pawlenki, „Dwa lata u Etiopów" W. Dolinowa, „Na drugim wszechświatowym kongresie zwolenników pokoju" N. Czerkasowa, „Walcząca Korea" A. Kożyna i inne. Wszystkie te utwory ukazują czytelnikowi obecny etap historii na dobitnych przykładach ludzi i wydarzeń, przedstawiają prostych ludzi różnych krajów złączonych wspólną walką z imperializmem.

Znany krytyk radziecki A. Tarasienkow, omawiając pamflety J. Gałana pt. „Zmierzch obcych bogów", które weszły do tomu „Utwory wybrane", wyróżnionego Nagrodą Stalinowską, zauważa słusznie, że główna zaleta antywatykańskich szkiców Gałana leży w elastyczności techniki pisarskiej, nasyconej głęboką ideowością a sięgającej to do obszernej wiedzy historycznej, to znów do najbardziej osobistych doświadczeń autora. Podporządkowanie bogactwa realiów zasadzie politycznej, wykorzystanie każdego szczegółu dla uwypuklenia walki klasowej, w stylu przechodzenia od ścisłej kronikarskiej notatki do metafory i ironicznej pointy — oto tajniki dobrego rzemiosła Gałana.

Tenże prymat bolszewickiej ideowości cechuje szkice Połtorackiego. Jego zbiór „W drodze i w domu" napisany został z tym specyficznym mistrzostwem, które powoduje u czytelnika wrażenie, że mówi do niego samo życie.

O sugestywności szkicu stanowi jego bogactwo emocjonalne. Krytyka radziecka wysoko ocenia zbiór szkiców W. Wasilewskiej pt. „W Niemczech". Autorka postawiła sobie za zadanie przedstawić Niemcy prawdziwe, antyfaszystowskie w okresie szalejącego terroru hitlerowskiego. Stąd każde opisywane zdarzenie posiada jakby podwójne dno: myśl o Niemczech antyfaszystowskich i pamięć cierpień w Polsce. Nie ma sceny, która nie działaby się w sercu pisarza. „Myślę — zauważa B. Agapow w „Lit. Gaziecie" — że prawdziwy, artystyczny szkic musi być oparty właśnie na osobistym, głęboko przeżytym doświadczeniu. Kiedy to osobiste w artyście zbiega się z przeżyciem powszechnym, wtedy właśnie powstaje sztuka prawdziwie ludowa". Przed literaturą radziecką stoi także doniosłe zadanie ukazania wielkich budowli komunizmu i uwypuklenia związanych z tym przeobrażeń w psychice człowieka radzieckiego. Pojawiło się już bardzo dużo szkiców na ten temat: Paustowskiego, Jakowlewa, B. Polewoja, Nikitina i in. Szkic tego typu może się pochlubić dużymi osiągnięciami (Paustowski, Polewoj), ale cechują go jeszcze nadal pewne braki. „Wielu pisarzy — zauważa „Litieraturnaja Gazieta" — usiłuje opowiedzieć o wszystkim na raz. Do podróżnego plecaka pakuje każdy materiał, na jaki natrafia po drodze. Nie kierując się zasadniczą ideą, autorzy ci stwarzają anemiczne, postrzępione utwory, pozbawione kompozycji, rozdarte na oddzielne epizody".

Pisarze radzieccy spotykają się na każdym kroku z cudami zwycięskiej techniki socjalistycznej. Powstaje ciekawe pytanie, jakie jest miejsce techniki w utworze literackim? Krytyka radziecka, a ostatnio coraz częściej i praktyka pisarska występują przeciw przesłanianiu człowieka przez technikę. „Opis techniczny czy przyrodniczy — zauważa „Litieraturnaja Gazieta" — bodaj najdoskonalszy nie wystarcza do tego, żeby w szkicu tętniło życie. Szkic nabierze rumieńców życia i porwie za sobą czytelnika tylko wtedy, kiedy w centrum techniki lub przyrody pojawi się człowiek i to taki, który potrafi opanować siły techniki i przyrody".

Tę zaletę dobrego szkicu posiadają szkice W. Wieliczko „Komuniści Wołgo - Dona" i A. Złobin „Kroczący gigant". Autorzy szkiców — pisze „Litieraturnaja Gazieta" — przywykli zwracać uwagę na tzw. produkcyjną stronę jednostki. Skrajnym tego wyrazem jest sucha informacja o ilości wypracowanych norm. Tymczasem życie stawia przed pisarzami nowe zadania — trzeba pokazać człowieka nie tylko od strony produkcyjnej, lecz w całym bogactwie charakteru, różnorakich i złożonych cech.

Lecz w jaki sposób „podpatrzeć" u budowniczych i „produkcyjne" i ściśle osobiste cechy? Tu wywiad zawiedzie. Krytyka radziecka uważa, że tylko współżycie pisarza z bohaterem wielkich budowli komunizmu, nieustanne z nim obcowanie, a nawet udział w pracy — pomagają stworzyć bogaty, prawdziwy obraz.

Jasne jest, że szkic, w którym autor zmienia nazwisko bohatera lub przedstawia fikcyjną postać, uwalnia pisarza od więzów dokumentaryzmu, daje mu dużą swobodę w zakresie wyobraźni. I tu powstaje bardzo ciekawe zagadnienie w stosunku szkicu do fikcji twórczej. O ile pisarz musi ściśle trzymać się faktów rzeczywistości, o ile ma prawo do swobodnej gry wyobraźni? Powiedzmy od razu, że rola fikcji twórczej w szkicu jest niewielka. Oczywiście, przełamanie sztywnych granic dokumentaryzmu, dopuszczenie wyobraźni jako czynnika kształtującego surowe fakty — pozwala na psychologiczne wzbogacenie postaci, odsłania tajniki ludzkiego charakteru. Ale proza dokumentarna ma niezastąpioną cechę owielkiej, politycznej doniosłości: operuje prawdziwymi faktami z życia. Dlatego szkic jest niezastąpionym orężem w zmaganiach o pokój i nowe społeczeństwo.

Grzegorz Timofiejew

STANISŁAW CIEŚLAK

TRZEBA HANDLOWAĆ PO NOWEMU

W CAŁYM kraju odbywają się obecnie narady wielkiej, bo ponad 300 tysięcy liczącej armii pracowników handlu uspołecznionego (państwowego i spółdzielczego). Wchodzimy bowiem obecnie w decydujący moment wielkiej „bitwy o handel", która z rosnącym nasileniem toczy się w naszym kraju od r. 1947.

Mamy już poza sobą zdobycie zdecydowanej przewagi w dziedzinie zaopatrzenia i wymiany dla gospodarki socjalistycznej. **Dziś handel uspołeczniony obejmuje już 86% wszystkich obrotów rynkowych w naszym kraju i decyduje o zaopatrzeniu ludności.**

Osiągnięcie tego ogromnego zwycięstwa nie było jednak ani sprawą łatwą ani prostą. Cofnijmy się myślą wstecz do roku 1946, pierwszego po zakończeniu działań wojennych roku pokojowego budownictwa. O zaopatrzeniu ludności, o obrotach między miastem a wsią decydował wtedy jeszcze handel prywatny ze swymi 150 tys. placówek handlu hurtowego i detalicznego, których obroty wynosiły 381 miliardów ówczesnych złotych, podczas gdy handel socjalistyczny (państwowy i spółdzielczy) posiadał wówczas zaledwie 18 tys. placówek o obrotach w wysokości 207 miliardów złotych. W handlu detalicznym udział uspołecznionego handlu wynosił zaledwie 22%, a w wolnorynkowym skupie rolnym nawet jeszcze mniej, gdyż w planowym skupie socjalistyczny handel zakupił wówczas w r. 1946, aż... 97 tys. ton zboża i 37 tys. ton mięsa.

Dziś w roku 1952 handel uspołeczniony posiada już blisko **dwa i pół raza** liczniejszą sieć punktów sprzedaży i skupu, obroty jego według wartości wzrosły w porównaniu z rokiem 1946 przeszło **dwudziestokrotnie.** Handel prywatny zachował jeszcze 32 tys. placówek z obrotami jednak o 79% niższymi niż w r. 1946.

W ten sposób leninowskie zagadnienie: „Kto — kogo" zostało w handlu już rozstrzygnięte zdecydowanie na korzyść elementów socjalistycznych i handel uspołeczniony stał się w całej rozciągłości czynnikiem decydującym i odpowiedzialnym za zaopatrzenie rynku.

Ale przez to walka klasowa w handlu nie została jeszcze zakończona, przeciwnie, weszła ona dziś w fazę decydującą. Pamiętajmy, że na niedaleki już przecież rok 1955 Plan 6-letni przewiduje osiągnięcie udziału gospodarki socjalistycznej w handlu na 97%.

Skok z obecnych 86% na 97% udziału w całokształcie obrotów rynkowych, o który będziemy walczyć w latach 1953 — 1955, to nie tylko zmiana ilościowa, ale ogromna zmiana jakościowa, tym trudniejsza do osiągnięcia, że jesteśmy w handlu (tak samo jak w rolnictwie) wyraźnie opóźnieni w stosunku do wytycznych Planu 6-letniego, które już na rok 1951 przewidywały 92%, a dopiero przecież dziś w połowie roku 1952 osiągnęliśmy 86% udziału w całokształcie obrotów rynkowych dla gospodarki socjalistycznej!

Zadania więc, które stoją przed naszym handlem uspołecznionym, zwłaszcza na wsi są niełatwe, a osiągnięcie ich jest, rzecz jasna, przy pomocy dotychczasowych, często jeszcze przedwojennych metod pracy zgoła niemożliwe. Jest więc nad czym radzić.

Kiedy myślimy o nowych metodach pracy, wzrok nasz od razu kieruje się ku Gminnym Spółdzielniom i PZGS-om. Jest to bowiem dziś najsłabsze ogniwo całego naszego socjalistycznego handlu, a wiemy dobrze (bo odrastająca wciąż hydra spekulacji przypomina nam tę prawdę na naszej własnej skórze), że o sile całego łańcucha decyduje nie najsilniejsze ,ale właśnie najsłabsze ogniwo...

Mało jest jeszcze takich np. PZGS-ów, jak ten w Kolnie (woj. białostockie), którego kierownik **Zbigniew Śliwa,** gdy pisze do nas o osiągnięciach i brakach pracy swego PZGS-u, to widzi je na tle konkretnej struktury społecznej i układu sił klasowych swego powiatu, czuje się odpowiedzialnym wraz ze swoją 85-osobową armią pracowników kolneńskiego PZGS-u za rozwój spółdzielczości produkcyjnej i nie tylko nie obraża się i nie gniewa za krytykę swej pracy dokonywaną przez korespondentów robotniczych i chłopskich, lecz przeciwnie jest za nią ogromnie i szczerze wdzięczny.

„Słusznym jest — pisze Zbigniew Śliwa — że o każdym naszym niedociągnięciu pisze się w prasie tak dużo, bo my przecież mamy poważną rolę do spełnienia w przebudowie naszej wsi. Mamy być przykładem społecznego gospodarowania i dlatego należy nam wytykać błędy nawet najdrobniejsze".

Iluż natomiast jest jeszcze takich „działaczy" jak ów niezły, jak widać, biurokrata z zarządu PZGS-u w Głubczycach, który redakcji nie może odpowiedzieć na zapytanie, jak pracuje PZGS w Głubczycach „ponieważ to są sprawy poufne, objęte tajemnicą służbową, której nie wolno mi zdradzić".

Czyż nie przypomina tego legendarnego już dziś szofera pewnej Powiatowej Rady Narodowej, który na zapytanie pewnego działacza politycznego, gdy ten napotkał go z wozem w terenie: jakiej to instytucji samochód i w którym kierunku jedzie? — odpowiedział z całą powagą: „to tajemnica państwowa".

Iluż jest jeszcze takich, jak ten odpowiedzialny pracownik PZGS-u w Kluczborku, który zapytany o kontakt z masami członkowskimi odpowiada, że „aparat samorządu w samym PZGS-ie jest **jednoosobowy** i dlatego kontrola pracy GS-ów nie może objąć całokształtu zagadnień. W praktyce kontrola ta sprowadza się do instruktarzu kontrolerów gminnych, organizowania zebrań gminnych i gromadzkich oraz odpowiadania na krytyczne głosy prasy".

Z takiej biurokratycznej pracy zbiera się później gorzkie owoce. Pełno ich w listach koresondentów chłopskich: mechaniczne rozprowadzanie towarów, lekceważący stosunek do żądań i potrzeb konsumenta, bezduszność pracy, brak aktywnej postawy w walce o stałe, systematyczne zwiększanie i rozszerzanie masy towarowej zarówno ze źródeł scentralizowanych (państwowe centrale zbytu) jak i ze źródeł zdecentralizowanych, a więc z drobnego przemysłu miejscowego, ze spółdzielczości rzemieślniczej itp., które przy większej dbałości o te sprawy mogą z powodzeniem dostarczyć każdej niemal gminnej spółdzielni około 700 artykułów codziennego użytku powszechnie poszukiwanych na wsi.

Wymownym dowodem skostnienia znacznej części aparatu terenowego Centrali Rolniczej Samopomoc Chłopska jest jej własny organ „Rolnik - Spółdzielca", na którego łamach nie wypowiadają się wcale działacze terenowi, a które to pismo w całości, od okładki do okładki (w swym przekonaniu oszczędzając w ten sposób papier na instrukcje) wypełniają przeważnie pracownicy Centrali w Warszawie.

GS-y i PZGS-y nie mogą być „urzędami wymiany", które poza wskaźnikami planu, sprawozdaniami i obowiązkowymi dostawami nie widzą życia, walki klasowej na swym terenie, nie czują się odpowiedzialne za całokształt przebudowy ustroju rolnego na swoim terenie.

W świetle uchwał VII Plenum muszą się one stać i to szybko placówkami **rozwiniętego, socjalistycznego handlu,** którego naczelnym zadaniem jest troska o rozwój produkcji, o jak najpełniejsze zaspokojenie potrzeb i wymagań konsumenta oraz nawiązanie bezpośrednich, bliskich, opartych na wzajemnym zaufaniu kontaktów z drobnotowarowym producentem, dostarczającym do spółdzielni płody rolne.

„Spójnia produkcyjna między wsią a miastem — uczy Stalin — jest podstawową formą spójni, ale sama tylko spójnia produkcyjna nie wystarcza. Trzeba ją uzupełnić spójnią towarową, aby więź między miastem a wsią czynić trwałą i nierozerwalną. Dopiąć tego można jedynie przez rozwinięcie handlu radzieckiego".

A handel radziecki, rozwinięty handel socjalistyczny to nie administracyjne kierowanie rynkiem, to wolny handel, ale **bez** kapitalistów i **bez** spekulantów. A o tym jakżesz często zapominają nasi działacze, którzy nie dostrzegają odrastającej wciąż u nas hydry spekulacji i piszą do nas z takim optymizmem jak ów odpowiedzialny pracownik PZGS-u w Kluczborku „że u nas na Zachodzie socjalizacja wsi odbywa się szybciej, a wypadki spekulacji płodami rolnymi zdarzają się coraz rzadziej, bo ścigane są z całą bezwzględnością".

A przecież obecna ofensywa handlu socjalistycznego odbywa się pod głównym hasłem dalszego ograniczenia i wyparcia prywatnego, kapitalistycznego handlu (i to nie tylko legalnego, ale zwłaszcza nielegalnego) z naszego rynku wewnętrznego.

Aby to osiągnąć, trzeba rozszerzyć wszystkie **cztery kanały** naszego uspołecznionego handlu, w których płyną towary ze wsi do miasta i z miasta na wieś. A więc zarówno sieć sklepów państwowych jak i spółdzielczych, zarówno sieć punktów sprzedaży nadwyżek towarowych spółdzielni produkcyjnych jak i sieć targowisk, na których indywidualnie gospodarujący chłopi sprzedają te nadwyżki, które im pozostają po wykonaniu obowiązkowych dostaw.

Rozwinięcie i umocnienie naszego socjalistycznego handlu zwłaszcza na wsi, tak dziś konieczne i pilne nie jest jednak sprawą łatwą. Choćby dlatego, że odbywać się będzie przy różnych legalnych cenach za ten sam towar.

Weźmy np. cenę żywca wieprzowego. Występują tu trzy ceny: pierwsza — cena płacona w ramach obowiązkowych dostaw za żywiec wieprzowy, druga — to cena jaką rolnik otrzymuje w gotówce i w naturze (węgiel i śruta) za kontraktowaną trzodę chlewną, trzecia — to ta, którą otrzymuje chłop na wolnym rynku za trzodę chlewną sprzedaną po wywiązaniu się w całej pełni z obowiązkowych dostaw.

Jasna rzecz, że tak skomplikowany rynek wymaga ogromnej czujności, bystrego klasowego podejścia i ogromnego poczucia odpowiedzialności ze strony całego naszego aparatu handlu uspołecznionego. Nie łudźmy się bowiem, że wróg klasowy, już powalony, nie podniesie głowy, że nie nastąpią próby ożywienia spekulacji, że pod płaszczykiem takim czy innym spekulanci i pośrednicy nie będą usiłowali wykorzystać wolnorynkowego rynku, na którym chłopi sprzedają swe nadwyżki.

Ale trzon całej naszej blisko 200 tys. armii pracowników GS-ów i PZGS-ów jest zdrowy, zahartowany w walce, podnoszący stale swe kwalifikacje polityczne i zawodowe. Da sobie radę z tymi trudnościami i nowymi zadaniami, byleby nie zapomniał o podstawowej zasadzie swej pracy: o potrzebie i **konieczności** oparcia się o biedotę, sojuszu ze średniakiem i walki nieubłaganej z kułakiem.

Stanisław Cieślak

ZYGFRYD SAWKO

JARMARK W AUGUSTOWIE

(Reportaż poetycki)

Wyjrzało słońce — i dmie w chmurach chłodny
północny wiatr. Rok pięćdziesiąty drugi.
W uliczce wąskiej
zator —
drabiniaste
na plac wjeżdżają wozy,
świszczą baty
i słychać głosy chłopów:
— Na co czekasz,
nie będę stał i patrzał, zjeżdżaj z drogi! —

Foto E. Golawski

Ze wszystkich stron
ulica wzbiera rzeką.

Na targowisko wprawdzie wyznaczono
miejsce za miastem, ale pochód owiec
i świń
na furach ulicami ciągnął.
Czerwcowy jarmark, jarmark w Augustowie!

Kto na to miał — zaprzęgał dwa kasztany,
by od biedoty jakoś się wyróżnić.
Już konie zębiskami resztki siana
wybrały,
stoją u swych żłobów próżnych.

Niejeden z chłopów też dla krowy, owcy
Sprzed pysków paszę złapał, gdy przechodził;
że wziął koniowi — przeświadczony mocno —
nie ukradł,
nie spod zamka brał, jak złodziej.

A po cóż skubać tak, gdy baba trawę
na targ od świtu z łąk zielonych wiozła,
by na widocznym miejscu się ustawić,
Sprzedaje wiązki paszy prosto z wozu.

Kobiety pouczają jak się karmi
prosięta, żeby zdrowe były, tłuste...
Tłumaczą wszystkim, gdy o małe spytać:
Zżerały jęczmień rozparzony w mleku —
apetyt u prosiaków że, człowieku,
żarcia nie zdążysz wlewać do koryta. —

Ze wsi spółdzielczej — znają się w powiecie -
przybyli chłopi. Kupić chcą rasowe
na chów prosiaki — kupić, no bo przecie
Spółdzielnia w Białym — gospodarstwo nowe.

Biedniacy do niedawna, co przywykli
z węzełka grosze wysupływać, wagę
pieniądza znają, ale dziś jak zwykle
kupować świń najtaniej, już nie pragną.

Nie liczą się tak. Prezes grubym końcem
długiego bata zmusza w wielkiej skrzyni
prosiaki powstać —
wola, w bok je trąca,
o cenę pyta młodą gospodynię.

Kupował z wozów najpiękniejsze pary —
na zaród.
Drogo nie dla pięknych oczu
wypłacał. Sam się
gospodarzem poczuł —
on, w starej jeszcze bluzie,
w butach starych.

Nic taniej, jak po czterysta, spółdzielcom
sprzedawać nie chcą chłopi swoich prosiąt.
Lecz cóż im znaczy to! Rasowe —
więcej
do worka dawaj! Prezes sam przenosi
na plecach — obok już czekają konie.

Wciąż ryczą krowy. I te, co z wyschniętym
wymieniem ledwo stoją tu na zbycie
i te,
trzylatki brzemienne,
cielęta
do Augustowa pędzone o świcie.

Żałośnie patrzą w oczy obcym ludziom.
Zapadnie zmierzch na bór, na wieś, gdzie żyły,
do obór swoich żadna z krów nie wróci.
Przy wozach
w cieniu kół się kładzie bydło.

Targują chłopi, przybijają w ręce:
Za dwa tysiące trzysta oddasz — płacę. -
Przekupnie kręcą się, nie dają więcej.
Południe — wozy odjeżdżają z placu.
Mozajka chustek kolorowych, białych
i fala włosów rozwichrzonych rzednie.
I chmury,
co jak wozy z sianem stały
nad miastem — ciągną lżejsze, niż poprzednio.
Na stronie kułak —
W kurtce,
na tył czapa,
bat w ręku... W lśniących przejrzał się cholewach.

Foto CAF

Ze wzgórka do swej żony schodząc złapał
dwie wiązki trawy sennej babie z wozu
i nad głowami jedną, drugą miota
przed konie...
— Ile — pyta — za te wiązki?
— Heleno — woła — zapłać po trzy złote!

I ważąc w garści ciężar ziarna — zgrzyta
zębami: — Ceny zboża nic nie skaczą.
Nie warto trzymać do przednówka żyta.
Cholera!
gmina w chleb wieś zaopatrza.

Czerwiec, 1952 r. **Zygfryd Sawko**

SYLWESTER BANAŚ

STARE NIE SĄ JUŻ WAŻNE...*)

ZACZĘŁO świtać. Od uśpionej jeszcze wsi dobiegało przedporanne pianie kogutów. W kilku miejscach błyszczały słabe światełka.

— To u Grzyba — u Marciniaka — o, i Zdyb nie śpi.

Z boku wsi, w dużym domu młynarza światło ukazywało się w coraz to innym oknie.

Rys. J. Walker

— Aha! pewno młynarz wyciąga pieniądze z różnych schowków! — domyślił się sołtys, schodząc raźno ze wzgórza. — Ale też mają niektóre ludzie pieniędzy, Grzyb jeszcze więcej od Rzepeckiego, a młynarz, to sam nie wiem

— Ale i mnie się dzisiaj poszczęściło — uśmiechnął się sam do siebie. — Mądre jest to przysłowie: „kto rano wstaje temu Pan Bóg daje". Wstałem przed świtem, spełniłem dobry uczynek i dwa świniaki jak znalazł. Jeszcze jak się uda, to może i tamci też dołożą za wczesną wiadomość.

Dochodząc do pierwszych chałup przystanął aby skręcić papierosa. Obejrzał się za siebie. Na wzgórzu majaczyły w podnoszącej się porannej mgle odosobnione od wsi, otoczone drzewami solidne zabudowania Rzepeckiego.

— Ale z niego gagatek — mruknął myśląc o Rzepeckim. — Wszelkiego dobra u niego dosyć i jeszcze taki pas zwędził—nabierze forsy jak go opchnie na zelówki.

— A Agata, to ci dopiero baba! — cmoknął lubieżnie. — Noga pod nią, ręka, piersi jak wymiona u rasowej krowy. Latała ci prawie nago po izbie — Ech! taką mieć do spania! Przypomniała się sołtysowi własna, zapracowana, chuda, brzydka żona...—Nie ma to jak bogatemu! — westchnął — nawet i kobiety mają do rzeczy — tłuste.

— A teraz spać! — ziewnął szeroko, ruszając z niechęcią w stronę swojej chałupy.

✣

Dopiero zdążyła Urbaniakowa wstać z łóżka i ledwo wciągnęła na siebie spódnicę, gdy do drzwi ktoś zapukał.

— Kogoż tu... tak z rana niosą? — Maryś! okryj się, pewno ktoś obcy, bo puka.

— Pochwalony — powiedział Rzepecki stając w progu — ja do was za interesem, a wy jak widzę dopiero wstaliście?!

— Bo to panie Rzepecki w niedzielę człowiek se trochę dłużej pośpi i dlatego taki nieporządek — usprawiedliwiała się Urbaniakowa, patrząc z zażenowaniem po nieposprzątanej jeszcze izbie. — A tu taki gość, taki gość! — Niech siadają proszę! — wycierała fartuchem stołek.

— Ja tu do was w sprawie krowy — zaczął Rzepecki widząc, że Urbaniakowa patrzy na niego wyczekująco, zdziwiona tak rannymi odwiedzinami. — Widzicie, jest taka sprawa: Jadę dzisiaj do brata, do Kielc, a nie wiem ile dni mi tam zejdzie. Przez ten czas moglibyście sprzedać krowę, a muszę powiedzieć, że udała mi się i myślę sobie, dobijmy dzisiaj targu! Po co ma iść dobre bydle w obce ręce? lepiej niech na naszej wsi zostanie. Dlatego przyszedłem...

— A bo to i prawda, że lepszej krowy w całej wsi nie ma — pochwaliła się Urbaniakowa. — Po wycieleniu więcej jak 4 garnce daje a jakie masło żółciótkie! i śmietany... można zebrać! Przestaje dawać tylko na dwa tygodnie przed ocieleniem. Skarb nie krowa! kto ją kupi będzie chwalił Urbaniakową! We wtorek mieliśmy z nią iść do Lipska na jarmark. Bo to i paszy tyle nie mam i pieniądze potrzebne. Zamiaruję dach przestawić na chałupie i nowe przyciesie trzeba dać, stare zgniło Mam już zgodzone drzewo i gonty w Boiskach. Cieśle przyjdą już od piątku, to pieniądze potrzebne, no i stodołę trza trochę poprawić.

— Przecie nie starczy na to pieniędzy za jedną krowę?! — zwątpił Rzepecki.

— Toteż jeszcze mam dwa wieprzki do sprzedania. Jeden sięgnie z półtora metra. Drugi mało co mniej! Szły mi latoś dobrą ręką—pytowała dalej Urbaniakowa — i wieprze też zawiozę na spęd we wtorek!

Jałówka co jest po Krasuli ocieli się na Boże Narodzenie, to bez mleka nie będziemy. A trzeba trochę gospodarstwo doprowadzić do ładu, bo w zimę sprawimy Maryśce weselisko. Będzie wreszcie chłop doma.

— Z kimże ta — spytał Rzepecki radby już przerwać tę rozmowę i przystąpić do interesu. Czas uciekał.

— A z Mietkiem Potulakiem mają się ku sobie i chociaż my dwie ino kobieciny na tych pięciu morgach, to staramy się i nie powie zięć, że chałupa się wali i na głowę cieknie...

— No to powiedzcie Urbaniakowa swoją cenę — powstał Rzepecki. (Na drodze zaczynał się już pomału ruch).

— Wiem ja to? — Taka dobra krowa i tak żem się do niej przyzwyczaiła. W tamtą niedzielę był tu Trela z Długiejwoli i dawał 45 tysięcy, a ja ceniłam 50 — rzuciła, patrząc pilnie w twarz Rzepeckiemu, by wyczytać jakie ta suma robi na nim wrażenie. (W rzeczywistości dawano jej 42 tysiące). Ale to do zgody, jak dla was...

— Dawał Trela, da Rzepecki o 2000 zł. więcej — dajcie rękę!

Zaskoczyło to Urbaniakową, spodziewała się zaciekłych targów.

— Jo... opuszczę tysiąc, wy dołóżcie 2 albo rozbijemy na pół i zgoda!

— Nie! — Rzepecki zdawał sobie dobrze sprawę, ze 47 tysięcy to i tak już cena o 2 tysiące za wysoka.

— Bierzecie —

— Ale tak przy niedzieli handlować! czy to nie grzech — oponowała łagodnie Urbaniakowa.

Czas uciekał.

— Dokładam 500 zł — zdecydował się Rzepecki — przybijcie!

Klap! plasnęła Urbaniakowa w twardą rękę Rzepeckiego. Krowa była sprzedana. Chyba jak Tomaszówka Tomaszówką nie było jeszcze krótszego targu.

— Maryś! wstawaj. Przeliczysz pieniądze, ja tam trochę niedowidzę. Nie patrzcie w tamtą stronę, panie Rzepecki, to się dziewucha ubierze.

— Raz — osiem — dwanaście — czterdzieści siedem — ślinił palce Rzepecki układając na stole brązowe tysiączki — i 500 zł.

— Niech Marysia przeliczy. Wyprowadzcie krowę.

— Ale ją jeszcze wydoję! — złapała Urbaniakowa szkopek.

Marysia usiadła przed małym lusterkiem i zaczęła zaplatać cięż-

Rys. J. Walker

kie, koloru dojrzałej pszenicy, włosy w dwa warkocze, nucąc przy tym z cicha.

— Udała się Urbaniakowej córka — pomyślał Rzepecki — Krew z mlekiem, zdrowie z niej tryska.

— Panna Marysia to nadałaby się nawet za żonę gospodarskiemu synowi. Żeby tylko miała więcej gruntu, toby się nie opędziła od bogatych konkurentów — powiedział przypochlebnie.

— Mnie tam nic po bogactwie — zaśmiała się dźwięcznie Marysia — morgi to nie wszystko, a z Mietkiem damy sobie i tak radę.

— Tak, tak — pokiwał głową Rzepecki. — Ale nie wszyscy tak myślą, ot pletą na wsi, że Potulak kręci się koło majątku Zośki Grzyba.

— Nie wierzę w to! Mietek nie taki — powiedziała cicho — to plotki.

— Toteż ja nie mówię na pewno — zastrzegł się Rzepecki, — ludzie plotą.

— Ale, pójdę już do obory — podniósł się — ludziom nie trza wierzyć!

— Maryś — zawołała z żywością Urbaniakowa wchodząc z pełnym szkopkiem mleka — Pan Rzepecki kupił od nas też obie świnie, bierz pieniądze całe 62 tysiące! Coś ty taka nieruchawa — nie cieszysz się?

— Na cóż to panu Rzepeckiemu świnie? — zdziwiła się Marysia — Przecie ma swoje!

— Widzi Marysia — chcę wam trochę dopomóc z tej okazji, że jadę do Kielc, zabiorę z sobą trochę mięsa. Ja na tym zarobię i wam daję wyższą cenę niżby wam dali w GS-ie.

— No, no, co ciebie obchodzi na co panu Rzepeckiemu świnie! — zgromiła ostro Urbaniakowa córkę — ma pieniądze to i ma prawo kupić.

— Nic takiego — uspokił ją Rzepecki — wiadomo — młode to i ciekawe. Krowę to odrazu wezmę, a po świnie przyjedzie Ignac.

Zaryczała smętnie Krasula, żgnęło trochę w serce Urbaniakową, ale wzrok jej padł na stół i zapomniała o wszystkim.

— Ale pieniędzy! — głaskała z lubością brązowe papierki. — Wykalkulowałam se, że najwyżej za wszystko weźmie się 90 tysięcy, a tu masz o 17 tysięcy więcej. Będzie jeszcze jaką dziurę czym załatać. Ale porządny chłop z tego Rzepeckiego, znać, że gospodarz, prawie się nie targował, ino com zaceniła to zapłacił. Nie wiem czemu niektórzy przezywają takiego... kułak?

Marysia milczała, nie biorąc żadnego udziału w uciechach starej. Wyglądała oknem na drogę bez żadnego zainteresowania.

— No! czegóż nic nie mówisz? — zbliżyła się również Urbaniakowa do okna.

Na drodze zaturkotał wóz.

— Coś mi się widzi, że to Grzyb jechał, ale tak jakby na Ambroziaka wozie i koniu, a wóz był wyładowany gospodarskimi statkami. Co by to mogło znaczyć? — zastanowiła się mocno.

— Cóżby — wtrąciła Marysia nawijając na palce koniec warkocza.—Pewno Ambroziak wyprzedaje się, bo to i ziemię już oddał w dzierżawę i sama słyszałam, jak mówił, że na zimę wyprowadza się do Starachowic, ma tam w fabryce robić. Co tam ma się męczyć na tych dwóch morgach piachu.

— To pewno Grzyb od niego kupił — domyśliła się stara. — Ale co w niedzielę z rana taki handel, czy nie ma w tym jakiej szachrajki? — kolnęło ją w serce złe przeczucie.

Sylwester Banaś

*) *Fragment opowieści pt. „Przebudzenie", która ukaże się niebawem nakładem SWO „Czytelnik".*

MARIAN WILK

PAMFLETY GAŁANA

Jarosław Gałan

NA liście laureatów Nagród Stalinowskich za rok 1951 figuruje także nazwisko Jarosława Gałana, wybitnego pisarza radzieckiej Ukrainy. Otrzymał on Nagrodę Stalinowską II stopnia za pamflety antywatykańskie, zawarte w tomie „Utwory wybrane".

Gałan nie żyje. Ten płomienny pisarz-patriota zginął niedawno z ręki wrogów ukraińskiego ludu, płatnych agentów Watykanu, rekrutujących się z resztek kułactwa, daremnie próbujących powstrzymać zwycięski rozwój Zachodniej Ukrainy. Poległ pisarz, lecz zostały po nim bojowe utwory literackie, a wśród nich przede wszystkim znakomite pamflety antywatykańskie. Są one organicznie związane z działalnością polityczną autora; toteż, nim zaczniemy omawiać ich treść, przytoczymy garść faktów dotyczących biografii Gałana i historii jego ojczyzny.

1.

Jarosław Gałan urodził się na terenie Zachodniej Ukrainy, która przez długi szmat dziejów stanowiła sferę zainteresowań polskiej szlachty, później Habsburgów, a jeszcze później kapitalistycznych władców Polski oraz hitlerowskich Niemiec. Wszystkie te siły były zawsze zajadłymi wrogami suwerenności narodu ukraińskiego — i prawie zawsze wspierały je rodzime klasy — obszarnicy i burżuazja. W przeciągu kilku stuleci po Ukrainę Zachodnią chciwie wyciągała się jeszcze jedna para rąk — Watykanu. Reakcyjna klika papieska czyniła wszystko, aby ta część Ukrainy była jak najmocniej związana ze Stolicą Apostolską, by stała się forpocztą swoistego watykańskiego „Drang nach Osten".

Od pierwszych dni swej działalności literackiej, w której najważniejsze miejsce zajmuje walka z obcymi i rodzimymi gnębicielami narodu ukraińskiego — Jarosław Gałan niestrudzenie, konsekwentnie i do ostatniego tchu prowadził walkę przeciwko Watykanowi i jego agenturze na Zachodniej Ukrainie. Gałan przejrzał politykę rozlicznych duszpasterzy, przystrajających pozorami „krzewienia wiary Chrystusowej" najsromotniejszą akcję przeciwdziałania ruchowi wyzwoleńczemu mas pracujących. Przekonał się, jak ściśle są ze sobą sprzęgnięte interesy agentów Rzymu i interesy polskich i austro-węgierskich feudałów - obszarników a później burżuazji tychże krajów, jak i rodzimych komiwojażerów tych wrogich sił. I wypowiedział tym ponurym siłom walkę: ostrą, nieubłaganą, konsekwentną. Jego opowiadania, sztuki teatralne, komedie, artykuły, felietony i wreszcie pamflety — to walka. *„Otwarcie mówiąc* — pisze w pamflecie „Ja i Papież" — *konflikt między nami rozpoczął się dosyć dawno, dokładnie ze 40 lat temu, kiedy to obecny Pius XII był jeszcze młodym papieżątkiem Pacelli, a papieżem był Pius X. Każdej niedzieli nauczyciel prowadził nas parami do kościoła... mówiąc nam, żebyśmy kochali cesarza Franciszka - Józefa i żebyśmy nienawidzili „Moskali", których, mawiał on, należy wyciąć w pień Jednak, miast bić „Moskali", pan - ojciec bił nas, uczniów".* Władze kościelne wypowiadają młodemu Gałanowi i jego kolegom zimną wojnę. *„Wkrótce* — pisze — *przekonałem się, że takich grzeszników jest niemało. Do nich należeli przede wszystkim gimnazjaliści biorący udział w uroczystościach ku czci Iwana Franko. Dla nich nauczyciel wymyślił specjalną karę: w największy upał kazał im przebywać w skwarnym miejscu. Na protesty odpowiadał: Aha! Na koncercie ku czci Franko recytowaliście: „Dążymy do słońca". Ot wam słońce. Pogrzejcie się"!*

Ucisk społeczny i narodowościowy, a także swoiste „metody wychowawcze" księży wpłynęły na kształtowanie się zarodków konfliktu między młodym „buntownikiem" a otaczającym go światem obszarniczo - burżuazyjnej przemocy i pseudo-chrześcijańskiej obłudy. Powoli kiełkowała żywiołowa nienawiść, która później rozwinęła się w świadomy bunt klasowy, bojową i nieprzejednaną postawę wobec wrogów ludu. Kiedy w okresie „20-lecia" uformowała się grupa pisarzy - antyfaszystów Zachodniej Ukrainy, Gałan przyłączył się do nich, by wspólnie prowadzić walkę płomiennym słowem pisarza. Pisze demaskatorską komedię „Łódź się chwieje", dramat „Komórka". We wszystkich tych utworach występuje przeciwko uciskowi reżimu sanacyjnego, przeciwko bestialskiemu wyzyskowi i znęcaniu się nad chłopstwem pracującym Zachodniej Ukrainy, które z wiarą i ufnością patrzyło na Wschodnią Ukrainę, należącą do ZSRR, budującą z innymi narodami radzieckimi szczęśliwe jutro socjalistyczne. W utworach tych występuje pisarz przeciwko nacjonalistycznym wrogom jedności narodu ukraińskiego. Gałan zdziera maskę hipokryzji z oblicza ukraińskich szowinistów, propagujących nienawiść w stosunku do mas pracujących Polski, a solidaryzujących się równocześnie z polityką ucisku narodowościowego, stosowaną przez rządy sanacyjne. Gałan i jego towarzysze — współpracujący z pismem literackim „Wikno" — przepojeni są duchem internacjonalimu; utrzymują oni ścisły kontakt z postępowymi działaczami kulturalnymi Polski, wraz z którymi — wiosną 1936 roku — organizują we Lwowie Kongres w Obronie Kultury. W tym okresie na łamach czasopisma „Wikno" pod kryptonimem „Jaga" drukował Gałan cięte felietony, demaskujące nacjonalistów i faszystów ukraińskich. Były one krokiem przygotowawczym do pamfletów antywatykańskich.

2.

W tomie „Utwory wybrane" znajdujemy najbardziej znane z pamfletów Gałana „Ja i papież", „Ojciec ciemności i jego towarzysze", „Zmierzch cudzych bogów", „W służbie szatana". Pierwsze dwa są najbardziej charakterystyczne dla metody twórczej Gałana.

Pamflet „Ja i papież" — to po prostu wycinek autobiografii pisarza, dotyczący jego stosunku do papiestwa oraz jego rzeczników na Ukrainie. To równocześnie namiętne oskarżenie Watykanu i jego szpiegów ukraińskich w rodzaju metropolity Andrzepa Szeptyckiego. W żadnym z pamfletów nie znalazła tak spontanicznego wyrazu nienawiść Gałana do wrogów ludu. W ten sposób w utworze przeplatają się nawzajem elementy autobiograficzne z ogólnonarodowymi, krzywda indywidualna z krzywdą społeczną. *„Kilka lat temu umarł monsignor Ratti, że tak powiem Pius XI, i miejsce jego zajął mój nowy przeciwnik — Pius XII. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały, że w osobie tego papieża mieć będę jeszcze bardziej nienawistnego wroga, aniżeli w dwóch poprzednich, z Benedyktem XV włącznie Albowiem był on jednym z ojców chrzestnych Trzeciej Rzeszy, on pchał Hitlera do wojny przeciwko ZSRR, na jego rozkaz ogniem i mieczem trzebił Piłsudski moich nieunickich rodaków z Chełmszczyzny i Wołynia".*

Nieco inny charakter ma pamflet „Ojciec ciemności i jego towarzysze". Element indywidualny usunięty został tutaj na bok; cały utwór został „zobiektywizowany". Na nim wypadnie nam się zatrzymać dłużej, nie tylko dlatego, że autor pracował nad nim w latach 1948 — 1949 r., ale także dlatego, że jest to jeden z najlepszych, najbardziej bojowych utworów doskonałego pamflecisty.

Oto początek: jakiś Rossini, rycerz giełdy rzymskiej wysyła do jego świętobliwości, Piusa XII, list, którego treść można by tak lakonicznie wyrazić: „Gdzie są moje pieniądze? Oddajcie mi moje pieniądze". Stolica Apostolska odpowiada milczeniem; wtedy uparciuch Rossini, w gazecie „Voce Republicana" ogłasza tekst powyższego listu oraz facsimile niespłaconych mu przez Watykan weksli... I teraz Gałan zapoznaje nas z całą galerią figurek szachownicy papieskiej, ze sprężynkami skomplikowanego mechanizmu watykańskiego. Na przykład — Eduardo Cippico Pretnera. Stolica Apostolska, przyparta do muru przez giełdziarza, każe Cippico na niby zaaresztować, jako winnego utraty 370 milionów lirów Rossiniego. W rzeczywistości wciska mu nowiuteńki paszporcik— do Szwajcarii, a w nim czek na sporą sumę.... Gałan pokazuje, jak Rossini staje Cippicowi w poprzek drogi, sprowadzając policję, która go aresztuje. Ale spryt Watykanu znów dochodzi do głosu — próbuje bowiem uwolnić swego sługę. Jednak zacny Rossini okazuje się sprytniejszy i wyciąga ostatni atut: pokazuje publicznie weksle z podpisami... Giulia Guidetti, sekretarza Specjalnego Komitetu Kardynałów, zarządzającego finansami Watykanu...

Gałan całą historię kończy druzgocącym wnioskiem: *„Sprawa Guidetti-Cippico po raz któryś już z rzędu wykazała, że na 44-hektarowym terytorium Watykanu mieści się największy w Europie czarny rynek waluciarzy".* Wnikliwie i przekonywająco przedstawia Gałan rozwój potęgi finansowej Watykanu w sprzyjającej atmosferze drugiej wojny światowej. Aczkolwiek autor sprawą aliansu hitlerowsko-watykańskiego zajmuje się bardziej szczegółowo w pamflecie pt. „W służbie szatana" — tu także nie rezygnuje z napiętnowania tych zażyłych stosunków. Wykazuje, jak dzięki tej unii oraz niezmordowanej przedsiębiorczości czcigodnych biskupów i prałatów — kiedy ponura noc zawisła nad Europą — kasy Watykanu pękały od nadmiaru złota: *„Niby wyspa wśród burzliwego Oceanu* — pisze Gałan — *trwała niezniszczalna „opoka Piotrowa", umożliwiając pasażerom tonącego faszystowskiego okrętu uratowanie zagrabionych skarbów..."*

A co się stało, gdy okręt hitlerowski zatonął? *„Watykański statek po rozgromieniu Hitlera płynie w farwatrze polityki Stanów Zjednoczonych Ameryki..."* — stwierdza Gałan, nie poprzestając jednak na konstatacji, ale dostarczając szeregu rzeczowych dowodów.

Gałan przekazuje czytelnikowi obraz systematycznego zazębiania się interesów watykańskiego i waszyngtońskiego Kapitolu, obraz całkowitego wprzągania się Watykanu w rydwan polityki wojennej USA. Owoce nowego aliansu nie dają długo czekać na siebie. Bo Stolica watykańska coraz usilniej zaczyna propagować hasło: *„Wiara bez czynów — jest martwa"*, wkładając w nie agresywną treść i polecając je szczególnie biskupom zachodnio-niemieckim. Dziś zwłaszcza aktualne są te ustępy pamfletów, w których został zdemaskowany Watykan, jako inspirator odwetowych zachcianek neohitlerowskich elementów Trizonii; Watykan, który przy pomocy swych agentów adenauerowskich propaguje podział Niemiec, rewizję granicy pokoju na Odrze i Nysie, ukaranie „swawoli" Polaków. Oszukując prostych ludzi, wykorzystując ich uczucia religijne, Watykan pragnie realizować swą antypokojową politykę. Gałan demaskuje ją przy pomocy własnych słów Watykanu: *„Najświętsza Stolica* (słowa kurii watykańskiej, MW) *chroni nietykalności zasady zabraniającej wolności sumienia, prasy, zrzeszeń i zebrań, gdyż służą one sposobowi krzewienia idei nie dających się pogodzić z dogmatami kościoła".* Po tym cytacie następuje druzgocący komentarz Gałana: *„W ten sposób, na czas pewien, utajony faszyzm prawnie i jawnie został ponownie wprowadzony przez Watykan, a krzyż katolicki wyjrzał spoza wiązki rózg liktorskich".* Watykan realizując swą politykę. nie przebiera w środkach: Stolica Apostolska, zapewnia Montini, sekretarz stanu Watykanu — *„Nie zawsze będzie w stanie wybierać sposoby, lecz cel ostateczny uświęca środki, do których, być może, chcąc nie chcąc, trzeba będzie się uciec".*

Na tym można już poprzestać. Na podstawie dotychczasowej analizy niektórych pamfletów można sobie wyrobić zdanie o nich, jak i o innych utworach Gałana.

3.

Uderza w nich bojowa, nieprzejednana postawa, żarliwość ideologiczna, pasja demaskatorska. Te podstawowe elementy gałanowskiej metody twórczej umożliwiły mu stworzenie takich pamfletów, które zasadniczo się różnią od pamfletów pisarzy burżuazyjnych, tej najczęściej bezideowej mieszaniny inwektywy formalistycznych chwytów polemicznych, żonglerki słownej, płytkiej błyskotliwości. Pamflety Gałana naszpikowane są treścią, konkretnymi faktami, bardziej lub mniej znanym materiałem historycznym, zaczerpniętym z historii, pamiętników, roczników gazet.

Historia jest wiernym towarzyszem Gałana i historyzm jego pamfletów antywatykańskich jest oczywisty. Ma on, rzecz jasna, kilka swoich odrębności i o niektórych z nich trzeba wspomnieć. Ten historyzm jest przede wszystkim dokładny i rzeczowy. Dalej — drugą jego właściwością jest fakt, że nie zawisa w próżni, ma swoją aktualną wymowę, stanowi podbudowę omawianych przez Gałana wydarzeń i faktów współczesności, dnia dzisiejszego. A więc historyzm ten — to po prostu pomoc przy interpretacji współczesności.

Jako następną właściwość tego historyzmu można by wymienić jego dialektyczny charakter. Gałan potrafił nie tylko przewertować różne przyczynki historyczne, dokumenty, pamiętniki, archiwa, roczniki gazet, ale także umiał czytać te dokumenty, znał dobrze język historii, umiał w gąszczu zjawisk historycznych dostrzec prawidłowości rozwoju; umiał z różnych aliansów papieskich, przemówień papieży, biskupów, prałatów i innych wyłuskać prawdę, ewolucję, mechanizm rozwoju Watykanu — od mroków średniowiecza aż po dzisiejsze bratanie się z Hitlerem i Trumanem

I wreszcie przypomnijmy dużą umiejętność: Gałan nie gardził cytatem, umiał wroga bić jego własnym orężem. Wplata cytat umiejętnie w osnowę swych pamfletów tak, że nie stanowi on tylko argumentu dokumentalnego, ale jest bardzo często miażdżącym wnioskiem jak np.: *„W noc wigilijną 1940 roku* — pisze Gałan — *w jedną z częstych wówczas nocy, które krwawą chmurą zawisły nad ukrzyżowaną przez Hitlera katolicką Polską, świętobliwy i nieomylny ojciec zwrócił się przez radio z orędziem do przyduszonych butem nazistowskim, lecz nieujarzmionych narodów: „Nienawiść — to wróg narodów... Nienawiść doprowadza do tego, że narody gotowe są widzieć winę tam, gdzie widać tylko błędy i chorobę, potrzebującą leczenia, a nie kary... Należy nienawidzieć nie grzesznika, lecz grzech... Miłość do wroga — to największy heroizm"*

✠

Nagroda Stalinowska pośmiertnie przyznana Gałanowi jest najwyższym wyróżnieniem jego świetnych utworów. W ten sposób podkreślono również wagę pamfletów antywatykańskich dla naszych dni, kiedy ponure siły — którym Gałan jeszcze przed 30 laty wypowiedział wojnę — coraz bardziej agresywnie próbują zatruć atmosferę naszej współczesności, sącząc jad propagandy wojennej, całkowitej zagłady i wiecznych mroków pod pozorem „obrony" zagrożonej rzekomo wiary, „obrony" katolicyzmu.

Pamflety gałanowskie wypowiadają walkę tym ciemnym siłom. Gdy ludzie z watykańskiego warownego obozu zabijali Gałana sądzili, że zabiją ideę, sprawę, o którą Gałan walczył, dla zwycięstwa której oddał to, co najdroższe — życie. Przeliczyli się! Po pisarzu-bojowniku zostały jego utwory, między nimi bojowe pamflety antywatykańskie, które tak długo demaskować będą nie bardzo bogobojną robotę watykańskiego „pasterza pasterzy" — jak długo trwać będzie jeno fałsz, obłuda, zbrodnia.

Marian Wilk

STANISŁAW SIEKIERSKI

POPULARYZOWAĆ OSIĄGNIĘCIA BIBLIOTEKARZY

JEDNA z gminnych bibliotekarek woj. krakowskiego w liście do Redakcji „Wsi" opisuje metody pracy z czytelnikami, swoje osiągnięcia i troski, wreszcie zwraca się z zapytaniem:

„Proszę, odpiszcie mi czy dobrze pracuję i jakie mam braki w swej pracy". Korespondentkę naszą niepokoją stosowane formy pracy, nie wie czy to dobrze, że początkującemu czytelnikowi, który szuka Mniszkówny daje Rodziewiczównę, zapytuje, czy nie należałoby w każdej bibliotece trzymać kilka „słabszych książek", aby mieć czym pozyskać czytelnika na stałe, zapytuje, czy to dobrze, że pracuje sama, nie wciągając miejscowego aktywu młodzieżowego i społecznego. List przepełniony jest ogromną troską bibliotekarki o swych czytelników. „Biblioteka gminna jest jakby moim dzieckiem, bo gdy trzy lata temu przyszłam do biblioteki, jako kierownik, zastałam 17 czytelników i to prawie samą inteligencję. Dziś biblioteka liczy około 300 czytelników". Jest w tym liście i w wielu jeszcze podobnych coś niepokojącego, coś, co można by nazwać „niepokojem wynalazcy", bo tak chyba dałoby się nazwać naszych bibliotekarzy, szukających różnych form współpracy z czytelnikiem i trzeba powiedzieć, że formy tej współpracy są niejednokrotnie bardzo pomysłowe, efektowne i przynoszą bogate plony. Oto np. Grabowska Stanisława, bibliotekarka gminna w Krosinie, pow. Szczecinek, podaje między innymi taki przykład: „Jedną z form propagandy jaką stale prowadzę, to doręczanie książek zapakowanych do punktów bibliotecznych przez rolników, którzy przyjeżdżają na skup bydła. Są oni obecni przy rozpakowywaniu książek w punkcie, idą później do domu i mówią sąsiadom, jakie to książki przyszły do gromady".

Inne, mniej oryginalne, ale bardziej przemyślane i obliczone na dłuższy etap metody stosuje bibliotekarka Narębska w Kocku. Jest zjawiskiem dość powszechnym, że 50 proc. czytelników bibliotek gminnych i powiatowych stanowi młodzież starszych klas szkół podstawowych i średnich. Narębska postanowiła te młodzież wykorzystać właśnie, jako agitatorów w ich własnych rodzinach. Bibliotekarka w indywidualnych rozmowach z młodzieżą ustalała zainteresowania czytelnicze rodziny i przekazywała odpowiednie książki dla „tatusia" lub „mamusi" z prośbą, aby ją zwrócił sam czytelnik, w ten sposób werbuje nowego miłośnika książki, „który — gdy przyjdzie do biblioteki, będzie czytał każdą książkę, jaką mu bibliotekarz wskaże, odpowiednio go do niej nastawiając".

Że współpraca ze szkolnymi dziećmi daje dobre rezultaty, świadczą o tym najlepiej liczne głosy, omawiające wkład młodzieży szkolnej w rozwój czytelnictwa poszczególnych okręgów.

Bibliotekarka Olszewska z Mławy wykorzystała w swej pracy taki wypadek jak chorobę pszczół, dając hodowcom odpowiednią lekturę na tematy pszczelnictwa, aby później rozbudzić w hodowcach zainteresowania bardziej ogólne, jak np. problem „Kobieta w ustroju socjalistycznym" na podstawie lektury: „Marta", „Matka", „Anna proletariuszka" itd.

W Nowym Sączu osiągnięto w niektórych gminach 42.5 proc. czytających w stosunku do ludności zamieszkałej, a to dzięki temu, że bibliotekarze żywo interesują sie problemami nurtującymi teren. Bibliotekarze gminni biorą udział w zebraniach sołtysów, przez co mają możność oddziaływania poprzez nich na gromady, chwytają na gorąco wszystkie wyłaniające się problemy na terenie gminy. Takich nowatorskich prób współpracy bibliotekarza z czytelnikiem moglibyśmy przytoczyć całe dziesiątki.

Kiedy jednak przypomnimy sobie fakty przytaczane przez ministra Sokorskiego, świadczące o tym, że niektóre ośrodki w ogóle z bibliotek nie korzystają, kiedy uświadomimy sobie, że większość przedsiębiorstw, skupiających poważne ilości młodzieży robotniczej nie korzysta w ogóle z bibliotek, a wiele bibliotek istnieje prawie wyłącznie na wykazie, będąc w rzeczywistości magazynem pewnej ilości książek, lub posiadają kilku czytelników, wówczas przekonamy się, że w pracy wielu jeszcze naszych bibliotek nie dzieje się najlepiej, wówczas uzasadnione będą niepokojące pytania bibliotekarki z krakowskiego, wówczas zrozumiemy te wielką dysproporcję w osiągnięciach poszczególnych bibliotek.

Wiele faktów wskazuje na to, że praca z bibliotekarzami na odcinku współpracy z czytelnikiem prowadzona jest nieodpowiednio, że poważne osiągnięcia, jakimi możemy się

Foto CAF

poszczycić zależą w większości wypadków od przedsiębiorczości bibliotekarza, a nie są akcją zaplanowaną i prowadzoną systematycznie przez czynniki do tej pracy powołane.

*

Mam przed sobą skrypty wydawane przez Związek Bibliotekarzy i Archiwistów Polskich, przeznaczone dla dokształcania bibliotekarzy systemem korespondencyjnym.

Trzeba stwierdzić, że bardzo skrupulatnie opracowany jest dział techniczny i to jest poważnym osiągnięciem wyżej wymienionego wydawnictwa, ale wydaje mi się, że opracowanie techniczne to dopiero połowa zagadnienia, że przecież pozostaje cel tych opracowań — czytelnik.

Niestety, o współpracy bibliotekarza z czytelnikiem dowiemy się tam bardzo mało. Wśród kilkunastu broszur odnalazłem jedną, która, z tytułu sądząc, powinna traktować o tym bardzo szeroko. „Współzawodnictwo pracy w bibliotekarstwie" — autor, Stanisław Telega, bardzo szeroko pisze o formach i możliwościach współzawodnictwa, o jego zadaniach a nawet historii, kiedy jednak przechodzi do rozdziału „O co powinniśmy współzawodniczyć w bibliotekarstwie", działu wydawało by się zasadniczego, stwierdza bardzo słusznie, że „Czytelnik jest dla nas najważniejszą normą, najwyraźniejszym wskaźnikiem naszej pracy" jednak poza to stwierdzenie prawie nie wychodzi, uciekając się do bardzo wygodnego zalecenia: „Wybór środków, szukanie dróg i sposobów, usprawniających naszą pracę, otwiera przed nami szerokie pole do racjonalizacji, do stosowania śmiałego nowatorstwa". Ale sprawa jest aż nadto poważna, aby można pozwolić na tak szeroko i daleko posunięte eksperymenty chałupnicze i na tym poprzestać. Autor wylicza wprawdzie kilka metod pracy z czytelnikami w ZSRR, ale przecież to nie wystarcza. Doświadczenia radzieckie należy bezwzględnie wykorzystać i to w jak najszerszym tego słowa znaczeniu, ale kilka przykładów to jeszcze nie pełny zarys metody i nie szeroki wzór. A przecież wymieniona broszurka to jedno z bardzo niewielu opracowań zagadnienia pracy z czytelnikiem.

Oczywiście, trudno jest napisać instruktarz dla poszczególnych bibliotekarzy, ustalić jak powinni oni zorganizować sieć czytelników, jak powinni agitować poszczególne osoby, bo rzeczywiście trudno jest za biurkiem wymyśleć, jakimi sposobami przekonać młodzież robotniczą o konieczności czytania literatury pieknej, ale zupełnie możliwe jest **zebranie doświadczeń** z bibliotek tych, które mają na tym polu poważne osiągnięcia, wykorzystując przy tym doświadczenia bibliotekarzy radzieckich. Weźmy chociażby takie zagadnienie, jak zróżnicowanie kręgu odbiorców, które często u nas nie mogło być postawione właściwie na skutek wadliwego systemu rozprowadzania książek, które wysyłano odgórnie nie licząc się zupełnie z zapotrzebowaniem czytelników. Bibliotekarze zwracali na ten temat bardzo często uwagę. Oto Cybala Janina, bibliotekarka z gminy Redle, pisze:

„Dużo nam przysyłają tych samych książek, które już mamy i czytelnicy czytali, jak np. wybór Konopnickiej, Szołochowa, Starą Baśń, tych książek mamy pełne półki i jak można czytelnika zachęcić do czytania, kiedy on mówi, że to już czytał 3 razy".

Bardzo niedobrze, że pomija się prawie zupełnie problem literatury fachowej, która na obecnym etapie powinna odegrać bardzo poważną rolę w dokształcaniu tysięcy nowych młodych i starszych pracowników, którzy napotykają na ogromne trudności w swej pracy zawodowej.

G.W. Bakutina w opisie swych doświadczeń z Biblioteki Rady Zakładowej Fabryki Traktorów w Stalingradzie podaje szereg przykładów w jaki sposób bibliotekarz potrafił skierować czytelnika do właściwych źródeł, które pomogły mu zrewidować dotychczasowy system pracy i przyczynić się do zrealizowania wielu pomysłów racjonalizatorskich. Oczywiście, że nie znaczy to wcale, aby bibliotekarz był alfą i omegą, znał wszystkie dziedziny nauki i zawody. Bibliotekarz powinien mieć jednak zapewnioną możliwość skierowania swego czytelnika tam, gdzie otrzyma on rozwiązanie nurtujących go problemów. Autorka podaje między innymi taki przykład:

„Pewnego razu przychodzi młodziutki tokarz i mówi: „Przeczytałem polecone mi książki, widzę jednak, że brak mi wiadomości z matematyki. Poradźcie, z jakiego podręcznika mam się uczyć" Nikifirow (bibliotekarz — przyp. SS) odpowiada: „Matematyka należy do tych dziedzin wiedzy, które trudno jest przyswoić sobie bez nauczyciela, stracilibyście na to zbyt wiele czasu. Trzeba zapisać się na kursy lub do szkoły... Powinniście więc pójść do szkoły Młodzieży Robotniczej" i Nikifirow kieruje tokarza, który przyszedł na konsultację, do szkoły ogólnokształcącej.

Wydaje mi się, że na takie postawienie sprawy, stać by było bardzo niewielu naszych bibliotekarzy.

Przyczyn niewystarczającej współpracy bibliotekarza z czytelnikiem należy szukać w złym systemie szkolenia naszych kadr bibliotekarzy, w braku opieki podczas ich konkretnej pracy z czytelnikiem, w braku popularyzacji nowych form pracy i ograniczania się do nauki katalogowania, sposobu wypożyczania oraz robienia sprawozdań.

Weźmy dla ilustracji taki problem: Zawsze i wszędzie, przy każdej okazji stwierdza się (miało to miejsce także i na ostatnim zjeździe bibliotekarzy), że ludzie nie czytają polskiej literatury współczesnej i przechodzi się nad tym do porządku dziennego, względnie wymyśla się literatom, że źle piszą, że nie nadążają, że nie mogą zrozumieć, że... popełniają siedem grzechów głównych. I co dalej. Literaci muszą się nauczyć dobrze pisać — wniosek bardzo słuszny i nie ma potrzeby go negować.

Ale jeśli wydaje się w roku kilka nowych powieści, reportaży, opowiadań, trzeba do nich zaagitować bibliotekarzy, a ci z kolei przekonają czytelnika. Na szczęście bibliotekarze nie czekali na tę pomoc, dzięki czemu już dziś mogą poszczycić się takimi osiągnięciami jak Eugenia Czado z Łańcuta, u której książki: „Pokład Joanny", „Początek opowieści", „Kształt miłości" są w obiegu, a wielu innych bibliotekarzy donosi, że czyta się chętnie Gałaja, Ściborr-Rylskiego, Andrzejewskiego, a nawet pozycje najnowsze.

To, że literatura współczesna zyskuje sobie coraz szerszy ogół czytelników, może poświadczyć wielu bibliotekarzy, których jest to niewątpliwą zasługą, nie wiedzą jednak o tym ci, którzy na te tematy najczęściej się wypowiadają, oraz ci, którzy odpowiadają za to, że dotąd na tym odcinku nie było najlepiej. Trudności są tu ogromne, bo jak np. rozprowadzić nową książkę o nakładzie 10000 wśród 85000 placówek bibliotecznych, (nie licząc prywatnych nabywców)?

Musimy w tej pracy pomóc wydatniej tym, którzy borykają się z nowymi formami pracy, często naprawdę chałupniczymi sposobami.

W tym celu należało by:

1. W szkoleniu bibliotekarzy położyć główny nacisk na problemy związane ze współpracą bibliotekarza z czytelnikami.

2. Popularyzować osiągnięcia przodujących bibliotekarzy przez prasę i czasopisma fachowe.

3. Rozpocząć systematyczne badania naukowe nad formami współpracy biblioteki z czytelnikiem, wpływu książki na dojrzewanie świadomości czytelnika oraz pomocy książki w konkretnej pracy zawodowej.

Stanisław Siekierski

PRZED ZLOTEM MŁODYCH PRZODOWNIKÓW VI*)

MARIAN NIEWIAROWSKI

SPOTKANIE Z DZIEWCZYNĄ

„...I Towarzyszu Prezydencie, nie było z czego żyć, dzieci nasze chodziły głodne i bose, a w mieście nie było dla nas pracy, bo jej nawet dla robotników, co tam mieszkali — nie starczyło...“

Dyktowałem te słowa wyjęte z listu, który chłopi ze wsi śląskiej Kuźnica Wareżyńska wysłali do Prezydenta, pisząc Mu o swoim życiu przed wojną i przyrzekając w dniu Jego urodzin wcześniej ukończyć siew.

Chłopi z tej wsi siew na czas ukończyli, słowa dotrzymali, a list ich znalazł się w „Trybunie“. Lecz

Eksmitowany przed wojną bezrobotny. Foto CAF

wtedy, gdy dyktowałem te słowa, usłyszałem nagle za sobą głos:

— Ech, niech pan nie przesadza. Tak znowu źle nie było...

✻

Aby przekonywać, trzeba wiedzieć z kim się ma do czynienia. Co to za człowiek, który idzie obok ciebie? Wroga — wiedziałem — nie można przekonać i wroga się nie przekonuje. Ale to nie był wróg. Szła obok mnie, ubrana w lekki wiosenny płaszczyk, wesoła i szczęśliwa, młoda i pełna życia...

Jak przemówić do jej rozumu, jak przekonać tę dziewczynę, której prawdziwe życie zaczęło się dopiero po wojnie, w warunkach zupełnie innych, w innej epoce...? Chciałem jej krótko, mocno i dobitnie wytłumaczyć: że osiem milionów zbędnych rąk, że biedaszyby, że strajki głodowe, że szarże policjantów na tłumy... Ale ona już nie rozumiała, jak można żyć bez pracy, nie widziała nigdy biedaszybu, a słowo strajk znała z podręczników szkolnych. Co robić?

Pojechać z nią do Józefa Nierychły z Orzegowa, który by jej opowiedział jak „żył“ bez pracy, jak został wypędzony z kopalni, jak chodził po plebaniach i malował ściany — on stary, wykwalifikowany górnik-rębacz. Jak łowił szczygły w pańskich lasach i sprzedawał w mieście on, stary specjalista od przekopów, niezastąpiony fachowiec... Pojechać z nią do kopalni „Wirek“ i zapoznać ją ze strażnikiem Chrzonem, który dwanaście lat był bezrobotny... Żeby jej opowiedział, jak on, młody wtedy górnik chodził po prośbie... bo nie było co jeść, choć sklepy były pełne towaru, wędlin, mięsa i czekolady.

✻

Szliśmy do biblioteki, a przekonywać trzeba wszędzie.

— A może poszukamy czegoś o tamtych czasach?

— Wie pan? — urzeczona tą prostą myślą spojrzała ze zdumieniem.

Dostaliśmy do przejrzenia na miejscu książki o dzieciach przedwojennych, o smutnych wiejskich dzieciach, o dziewczynkach i chłopcach z różnych stron Polski, książkę pisaną przez nauczycieli — sucho, beznamiętnie, spokojnie, bez cyfr. Nosiła tytuł „Dziecko wsi polskiej“ — próba charakterystyki — praca zbiorowa pod redakcją Marii Librachowej. Wydana w roku 1934 nakładem „Naszej Księgarni“ — wydawnictwa Związku Nauczycielstwa Polskiego, jako „tom 41 i 42“ Biblioteki Dzieł Pedagogicznych...

Zaczęliśmy przerzucać kartki, oglądać fotografie.

— Tu jest coś o Śląsku.

— Proszę mi pokazać.

Na stronie 105 nauczyciel śląski Stanisław Chmielewski pisał o dzieciach śląskich. Zaczęliśmy czytać:

„...rodziny śląskie są bardzo liczne, składają się przeważnie z sześciu, siedmiu, a nawet ośmiu i dziewięciu osób, na które pracuje zwykle sam ojciec. Nic więc dziwnego, że dzieci są bardzo biednie ubrane. Jedynie czapki i pończochy noszą tu dzieci ciepłe, ale za to rzadko spotykamy buciki. Większość dzieci nosi pantofle o drewnianych podeszwach, ze skórzanym obiciem na palce. Grube pończochy chronią nogi od odmrożenia. Klap — Klap — Słyszymy każdego ranka na ulicy. To dzieci spieszą do szkoły. Zdawało by się, że tak licho ubrane dzieci chronią się przed mrozem w swych rodzinnych domach. Jednakże bywa inaczej.

Na wielkich hałdach, pokrytych zimą brudnym śniegiem, zawsze spotykamy gromadki zziębniętych dzieci, wygrzebujących spod śniegu i żwiru kawałeczki węgla lub żelaza. Przepędzone przez dozorcę kopalni ukrywają się w pobliskich dołach i czekają na odejście znienawidzonego stróża, by znów, gdy z kopalni wywiozą żwir, rzucić się na dymiące jeszcze żużle w poszukiwaniu odpadków żelaza lub węgla. Po takiej kilkugodzinnej pracy wracają zziębnięte i głodne do osady, by sprzedać zebrane żelazo, a otrzymane pieniądze dać matce na chleb. Taki tryb życia prowadzą dzieci zimą i latem.

Terenem zabaw jest bruk uliczny. Dla większości dzieci teren pracy i zabawy stanowią ulica i hałda, gdzie poznają ludzi i życie, gdzie bardzo często zaczyna się ich fizyczna i moralna choroba“.

— Tak — westchnęła — więc to tak było?

„...Po przeprowadzeniu pomiarów antropometrycznych w mojej klasie okazało się, że na 42 dzieci tylko czworo wykazało normalny rozwój fizyczny. Pozostałe dzieci posiadały rozwój poniżej normy. Klatka piersiowa zapadnięta, budowa wątła, mięśnie słabo rozwinięte, a odżywianie zaledwie dostateczne“.

Dziewczyna odłożyła na chwilę książkę.

— Ta muzyka — rzekła cicho — przeszkadza mi czytać.

Na dole pod nami, w Wojewódzkim Domu Kultury, ćwiczyły właśnie dzieci katowickich górników — tańce.

— Niech pani czyta. To dobra muzyka.

Czytała dalej:

„...większość dzieci śląskich ugania się za taką czy inną formą zarobkowania“.

Odwróciła książkę, spojrzała jeszcze raz na tytuł, jak gdyby chcąc usprawiedliwić swoje zdziwienie.

— Może weźmiemy teraz co innego? Może jakąś przedwojenną śląską gazetę? Ale z którego roku?

— Mam pomysł — rzekła figlarnie — niech pan prosi o komplet z tego roku, w którym się urodziłam.

— Który to rok?

Dziewczyna była jeszcze w tym wieku, w którym kobieta nie ukrywa swych lat, a na odwrót, jest z nich bardzo dumna. Dlatego powiedziała z uśmiechem:

— Trzydziesty czwarty.

Po kilku minutach woźny biblioteki przyniósł nam komplet dziennika śląskiego „Siedem Groszy“ z roku 1934.

— Niech pan otworzy numer z dnia, w którym się urodziłam, 28 czerwca. Zobaczymy, co się wtedy działo na Śląsku lub w Zagłębiu?

Zaczęliśmy czytać tytuły:

„BEZROBOTNY SZUKAJĄCY BEZSKUTECZNIE PRACY PORZUCIŁ DZIECI SWE W STAROSTWIE.

Władze policyjne w Lublińcu zrobiły doniesienie na bezrobotnego Piotra Filipa z Lublińca, zam. przy ul. Mickiewicza 27, który starając się przez czas dłuższy bezskutecznie o pracę, pozostawił przed kilkoma dniami rano na korytarzu Starostwa w Lublińcu bez opieki i nadzoru pięcioro swych dzieci, liczących od dwóch miesięcy do 10 lat, po czym oddalił się do domu. Filip uczynił to z rozpaczy, gdyż nie otrzymując ani wsparcia, ani pracy, nie miał środków na utrzymanie swej licznej rodziny.

Ze Starostwa zawiadomiono o tym natychmiast policję, która udała się z dziećmi (najmłodsze znajdowało się w wózku) do domu Filipa przy ul. Mickiewicza 27. Gdy Filip zauważył zbliżającą się wraz z dziećmi policję wyszedł z domu i zamknąwszy mieszkanie na klucz, usiłował zbiec. Zdołano go jednak przytrzymać i pod przymusem sprowadzono do domu, gdzie nakazano mu się opiekować nadal dziećmi“.

— Boże, Boże — szeptała dziewczyna — co to za czasy. Nie mogę tego czytać. A co tu jest?

W numerze następnym, z dnia 29 czerwca 1934 roku ujrzeliśmy zdjęcie obramowane dłuższym artykułem ze spokojnym, a jakże wymownym tytułem:

„WYEKSMITOWANI...
TRAGEDNIA RODZINNA WEBERÓW Z SZARLEJA.

Dnia 23 bm. na ulicy Łącznej w Szarleju — Wielkich Piekarach zauważyłem na rogu tejże ulicy tuż pod płotem przyległego domostwa jakieś graty i coś białego.

Podchodzę zaciekawiony bliżej i widzę łóżko zasłane pierzyną, pod którą spoczywają eksmitowani: Bolesław Weber, bezrobotny, razem z żoną i dwojgiem dzieci w wieku około 4—6 lat. Przed łóżkiem jakiś ceber, szmaty, parę gratów nieokreślonego przeznaczenia. A dalej — płot...“

— Wie pan — rzekła nagle dziewczyna — chciałabym tam pojechać do tych Piekar, zobaczyć co się stało z tymi Weberami...

W pół godziny później jechaliśmy w kierunku Piekar. Na ulicy Łącznej pod numerem 27 spytaliśmy, gdzie mieszkają Weberowie. Zebrała się wkoło nas grupka ciekawskich dzieciaków. Z podwórka wyszła jakaś pani.

— Weberowie? Takich tu nie ma.

— Ale tu mieszkali przed wojną, jeszcze u tej akuszerki Szefczykowej...

— Podobno nawet mieszkali na ulicy, pod gołym niebem?... — wtrąciła nieśmiało dziewczyna.

— Tak, tak — mówiła powoli kobieta — eksmitowali ich...

Zbliżyło się jeszcze parę kobiet i zaczęły się sypać wspomnienia, jak to wtedy było, jak Weberka mieszkała pod płotem, jak te dzieci spały u sąsiadów, a stary Weber gotował kawę na piecyku.

— Gdzie oni teraz są?

— Zdaje się, wyprowadzili się, gdzieś na to nowe osiedle.

— Ja wam pokażę, gdzie — powiedział młody chłopak — znam ich córkę...

Córkę? Czy to nie ta sama, co wtedy przed osiemnastu laty spała spokojnie z zapuchniętymi oczyma w łóżku na ulicy pod płotem?...

Przy ulicy Jarosława Dąbrowskiego, w nowym osiedlu przy Piekarach, na tak zwanych Kozich Górkach, w jednorodzinnym domu z ogródkiem, w jasnym, przestronnym mieszkaniu mieszka wdowa po Bolesławie Weberze—górniku i bezrobotnym z kopalni „Radzionków“, obywatelka Weber z dziećmi. Patrzę zdumiony: przede mną stoi chłopak jedenastoletni — na imię mu Gerhard, dalej wynurza się z pokoju 15-letnia Genowefa, uczennica szkoły w Piekarach, i Józef, siedmioletni urwis. Czy to te same dzieci? — przez chwilę myślę zdumiony, urzeczony odległością czasu.

— A gdzie są te dzieci, co razem z panią leżały w trzydziestym czwartym roku na ulicy pod płotem na Łącznej?

— Stanisław ma dzisiaj wesele, a Gertruda wyszła już za mąż. Mąż wtedy nabawił się gruźlicy i już nie żyje. Sama jestem, ale domek mam, ogródek, no i z dzieci pociecha. Stanisław jest górnikiem na „Radzionkowie“, Gertruda wyszła za Szwarca, też górnika z „Radzionkowa“,

✻

„Tak źle nie było — pan przesadza“.

Powtarzam w pamięci słowa, które dziewczyna wypowiedziała, kiedy dyktowałem na maszynę list chłopów z Kuźnicy Wareżyńskiej do Prezydenta. Spoglądam na dziewczynę, ona też patrzy na mnie—zrozumiała.

*) *Patrz: „Wieś“ nr 8 J. B. Ożóg— „Pożegnanie“ — W. Udalski, T. Gicgier, K. Koszutski, T. Chróścielewski — Wiersze.*

LUDOMIR LEGUT

I WATYCHA BĘDZIE PRACOWAŁ W NOWEJ HUCIE

Od szczytów szedł mrok. Cała dolina wypełniała się powoli ciemnym obłokiem. Jasną plamą rysowało się tylko stado owiec. Watycha wsadził mocniej cybuch faji w zęby i podniósł głowę. W górze chmury umykały w popłochu przed uderzeniami wiatru.

— Ani chybił, halniak — mruknął do siebie, po czym poprawiwszy na ramionach wytartą ze starości gunię, ruszył ku bacówce. Miał już wejść do środka, gdy nagle, coś sobie przy-

Rys. J. Walker

pomniawszy, gwizdnął przeciągle... Gwizd wsiąkł w mglistą ciemność... i nic. Gwizdnął jeszcze raz, odczekał chwilę, a potem ze złością pchnął drzwi, ale nie zdążył przekroczyć progu, gdy zza rogu bacówki wyskoczyło potężne psisko, głośno naszczekując. Watycha, udobruchany poklepał psa po kudłatym łbie i obaj wleźli do wnętrza...

Nikły płomyk naftowej lampy giął się pod wiatrem, dmuchającym przez nieszczelne ściany. Watycha siadł na wyrku ze słomy, okrytym kocem i medytował. U jego stóp warował Zbójnik, powarkując chwilami, zaniepokojony migotliwym płomieniem lampy.

Myśli Watychy były niewesołe — jedno, że był głodny, a Józka jak nie ma, tak nie ma. I stąd szła cała jego złość. Wieczny frasunek z tym Józkiem... Był małym — trza go było pilnować, podrósł — stał się urwipołciem ,a już najgorzej teraz, z tą Nową Hutą.

Cięgiem powtarza swoje — Tata, pójdę do Nowej Huty, choćby tam nie wiem co! Chcę się wyuczyć fachu. Taki Glajcar z Łopusznej jest przodownikiem, to i ja, Watycha, mogę. Nie widzieliście to Glajcara, kiedy przyjeżdża do starych, jak mu wszyscy we wsi czapkują, jak podzwania medalami? Mówię wam ociec — jadę do Nowej Huty!

Watycha westchnął ciężko z frasunku, potarł czoło sękatą dłonią i akurat miał zamiar wyciągnąć się na wyrku, gdy zatrzymało go głośne warknięcie Zbójnika.

Trzasnęły drzwi pod naporem wiatru. Płomień lampy przygiął się mocniej — omal że nie zgasł. W nikłym świetle Watycha rozpoznał Józka. Rozpoznał go i Zbójnik, gwałtownym machaniem ogona objawiając radość.

— Tata! Wieczerzę wam przyniosłem.

— A no wiem, żeś nie po to przyszedł, żeby ze mną pogwarzyć — zamruczał Watycha — nie w smak ci taki ojciec jak ja.

— Dalibyście spokój. Przecie ten Zbójnik, choć pies, lepiej mnie wita od was...

Na Józkową skargę stary Watycha nie znalazł jakoś odpowiedzi. Wziął tylko z jego rąk kobiałkę, otworzył i zaczął wyjmować garnki z jedzeniem — co mu tam matka przygotowała, Józek zaś usiadł na zydlu, chwilę patrzył w milczeniu na jedzącego ojca, wreszcie przemówił:

— Tata! Jutro, od nas ze wsi, robią wycieczkę do Nowej Huty. Zabiorę się chyba z nimi, nie zabronicie, co? A nawet jakbyście zabronili, to i tak pojadę — dodał twardo.

Stary zwiesił głowę i nic nie odpowiadał. Ale po cichu sobie myślał: „Mam cię hyclu! Chcesz niby to jechać z wycieczką, a potem, to tyle byśmy się w chałupie widzieli... Tyś mądry, ale i ja nie głupi, już ja cię przypilnuję...“ A na głos się odezwał:—Dobrze, pojedziesz! Tylko, że i ja się z wami zabiorę. Popatrzę se na tę Nową Hutę, pomyślę, to może i zgodzę się, żebyś tam został — dodał chytrze.

Józek aż usta otworzył ze zdziwienia. Ojciec się zgodził! Kto by to pomyślał. Dotychczas ani słyszeć o tym nie chciał.—Dwóch synów zginęło na wojnie, Maryśce się zmarło, to choć ty siedź w chałupie — powiadał do Józka. A tu nagle, tak prawie, jakby się już zgodził.

Józek skoczył, mlasnął ojca w rękę i już trzasnęły za nim drzwi bacówki. Tyle tylko, że zdążył jeszcze ojcu powiedzieć, że wyjazd jest jutro, o 8 rano, pociągiem—...

✻

Watycha przystanął. Zmordował go trochę upał, kilkugodzinne łażenie, patrzenie... A nie można powiedzieć, żeby nie było na co patrzeć w tej Nowej Hucie — te domy,wysokie, z ładnej cegły, zieleń wśród nich... Czyściutko ubrane, roześmiane dzieciaki... Watycha nigdy nie myślał, że tak można mieszkać, w takich domach. A już maszyny... dziw go brał, skąd się to biorą i jak się na nich robi? Kręcił tylko głową, kiedy mu mówili, że te maszyny, to trochę ze Związku Radzieckiego, a trochę z naszych fabryk. I że robią na nich nasi robotnicy, chłopi — choćby tacy, jak on sam, Watycha...

Przystanął koło grupy cieślów. Prawie same młode chłopaki. Jeden tylko starszy — coś im tam pokazuje, wyjaśnia. Chłopaki biorą za siekiery. Ale nie bardzo im to zręcznie jeszcze idzie. Zwłaszcza jednemu.

„Źle przecie trzyma siekierę“ — myśli Watycha, a głośno się odzywa: — Nie tak trzeba synu! Daj, pokażę! — i zabiera z rąk chłopaka siekierę. Czy to on, Watycha, nie jest najlepszym cieślą we wsi? A raczej, czy nim nie był? I jakoś zapomniał o tym, że się już uważał za zbyt starego, żeby machać siekierą...

Siekiera sprawnie chodziła w jego dłoniach. Wywijał nią chwacko, jak za dawnych lat, ale, że się zgrzał szybko, zrzucił kapotę, zakasał rękawy i dalej ciosał spory kloc. Kiedy skończył, wbił siekierę jedną ręką, aż po sam trzonek, popatrzył przyjaźnie na chłopaków i powoli zaczął wdziewać kapotę. Chłopaki zaś przypatrywali mu się z uznaniem, a ten, od którego Watycha wziął siekierę, odezwał się: — No, ojciec! Choćżeście, już nie młodzi, to krzepę jeszcze macie, że aż hej! Przydalibyście nam się tutaj, bo cieśla z was dobry...

✻

Józek spakował już swoje graty, co tam miał, i niespokojnie kręcił się po izbie. Nie wiedział, od czego by tu zacząć, jak tu ojcu powiedzieć, że dziś nieodwołalnie postanowił jechać do Nowej Huty. Wprawdzie ojciec od powrotu z wycieczki zgoła się odmienił — przestał zrzędzić i pokrzykiwać na Józka, ale o Józkowym wyjeździe jakoś nic nie wspomniał, a Józek sam nie miał odwagi zacząć...

Ojciec w kącie izby pakował coś

Rys. J. Walker

w wielki tobół. Józek nie wiedział, co by to mogło być. Zaciekawił się.

— Tata, a może wam pomóc? — spytał.

— Obejdzie się — odmruknął Watycha. — Swoje graty już spakowałeś?

—Pewnie, że spakowałem — odpowiedział zdziwiony Józek.

— No to pożegnaj się z matką i możemy iść.

— A dokąd to?

— Jakto, dokąd? Jedziemy do Nowej Huty! Jak dostaniemy mieszkanie, to i matka do nas przyjedzie.

— Ale tata! Nie za staryście to?— oponował Józek.

— Za starym?! Czekaj ino, jak cię trzasnę bez łeb, to zaraz zmiarkujesz, czym za stary — uniósł się Watycha. Zbieraj się, idziemy!

Ludomir Legut

JAN KOPROWSKI

W PRZEWORSKU TARG... NA LUDZI

27 GRUDNIA 1932 roku, w dzień świętego Jana, odbywał się w Przeworsku podobnie jak w lata poprzednie, wielki doroczny targ. Na rynek miasta ze wszech stron zjeżdżali się chłopi. Bogatsi przybywali furmankami i wasągami, rozpierając się na wyściełanych wzorzystymi derkami siedzeniach; pysznili się dostatkiem swoim i zamożnością. Biedni ciągnęli pieszo;

Rys. J. Walker

wszystkie drogi do Przeworska, wszystkie gościńce i ścieżki polne zapełniały się tego dnia już od rana parobkami i biedotą wiejską, która pod koniec roku oglądała się za pracą na rok następny.

Osobliwie wyglądał w tym dniu rynek miasta. Dzień był mroźny, suchy, szczypiący w uszy wiatr nadlatywał ulicami, kręcił wśród ludzi rozwiewając im poły kapot, buszował wśród straganów i furmanek. Środek rynku zajmowały pojazdy gospodarstkie i dworskie, po bokach gromadziły się kucharki, dziewczyny do dojenia krów, fornale i parobcy. Był to jedyny dzień w roku, kiedy najmita mógł powiedzieć o sobie z goryczą: „Na święty Jan każdy sługa sobie pan“.

Zwolniony po żniwach i robotach jesiennych ze służby, często bez należytej zapłaty, przychodził tutaj w nadziei, że ktoś się nim zainteresuje i przygarnie do siebie dając mu, wzamian za harówkę, łyżkę strawy i jaki taki łach na grzbiet.

Karczmy, których w samym rynku było kilka, zapełniały się ludźmi. Pito i rozprawiano szeroko o potrzebach swoich gospodarstw, z kudłatych kułackich łbów kurzyło się jak z pól perzowych. Jeśli któryś z biedaków wszedł do wnętrza, to ukradkiem i tylko po to, by za ostatni grosz kupić kawałek suchego chleba.

Każdy z zabiegających o robotę starał się w tym dniu wyglądać jak najkorzystniej, starał się ukryć swoją nędzę: obnażone łokcie i gołe wystające z dziurawych portek kolana. W tym dniu biedota była przedmiotem zainteresowania i musiała dbać o swoją prezencję. Od tego przecież zależało przyjęcie ich na nową służbę. Im kto lepiej wyglądał, im lepszymi tryskał rumieńcami, im bardziej zdawał się być mocny i wesoły, tym większe miał szanse na to, że zainteresuje się nim bogaty chlebodawca.

Stali teraz na chodnikach, pod ścianami niskich bielonych domów zagrzewając się rozmową. Ten i ów zacierał ręce z zimna, ktoś trzaskał zamaszyście ramionami lub przestępował z nogi na nogę, jakby stał nie na mroźnej ziemi, a na żarzących się węglach. Oprócz dorosłych, przyszli po pracę wyrostkowie, a nawet dzieci, którym asystowali rodzice.

Nad rynkiem ciągnęły nawisłe, brudne chmury, przeganiane niespokojnym wiatrem. Na wieży ratusza dzwonił wycięty z blachy księżyc z gwiazdką i ręka trzymająca miecz.

Ludzie zadzierali głowy do góry przypatrując się manipulacjom wiatru na czubie ratuszowej wieży.

— Te, Franek — odezwał się Cynar z Monasterza — nie wiesz, po co ta ręka z mieczem, na jaką pamiątkę?

Franek podniósł głowę, podumał i nie rzekł ani słowa. Wtedy pośpieszył z odpowiedzią nieznany bliżej chłop o podłużnej, wychudłej twarzy.

— Ta gwiazda i księżyc to herb Przeworska — mówił rozkładając ręce — ustanowili go w dawnych czasach bogate kupcy, a ta ręka z mieczem oznacza sąd. A sądy, musita wiedzieć, były dwojakie: ziemskie i grodzkie. Ziemskie to niby dla szlachty, panów, a grodzkie dla takich jak my.—W miarę jak nieznany bliżej chłop opowiadał, gromadziła się wokół niego coraz większa grupa ciekawych. Ktoś rzucił z przekąsem:

— A skądeście tacy mądrzy.

Chłop rozejrzał się spokojnie po ludziach.

— A służyłem tu w Przeworsku, tom się wszystkiego wywiedział. Sądy ziemskie to ta panów nie karały, starały się godzić zwaśnionych. Ale grodzkie były mściwe dla pospólstwa. Niejednemu, co się sprzeciwiał i nie chciał ulec panu, dostało się po łbie niezgorzej. Bo tu musita wiedzieć, księciowie rządzili.

— Rządzili i rządzą — odezwał się chłop zwany Frankiem.

— Stul pysk — zgromił go ktoś z dalej stojących. — Jak się będziesz mądrzył, roboty nie dostaniesz.

Prawie wszyscy zadzierali teraz głowy do góry, by przyjrzeć się dokładnie „karzącej ręce“, którą potrząsał wiatr suchy i złowrogi. Nastało milczenie. Wśród przybyszów z okolicznych wsi, z Mirocina, Mokrzaki, Trynicy, Markowej, Monasterza, Ujezdnej opowiadanie to wzbudziło, widać, jakieś myśli, bo nic już teraz nie gadali, tylko patrzyli a to na wieżę, a to na domy, otaczające rynek, a to znowu na furmanki, wasągi i bryczki, które panoszyły się na placu jak zachłanne, gdaczące kwoki.

Koło południa zaczęło się wreszcie to, na co czekano. Z karczem i restauracji wywalali się jeden po drugim gospodarze, podchmieleni, weseli i śmiejąc się przechodzili na drugą stronę rynku, by zacząć przegląd ludzkiego towaru. Wśród czekających parobków i dziewczyn nastąpiło poruszenie. Przyjmowali odpowiednie postawy, obciągali na sobie su-

Rys. J. Walker

knie i kapoty, przygładzali włosy. Jeden chciał wydać się lepszy od drugiego, w piersiach tłukły się wyczekujące przestraszone serca.

Gospodarze szli gęsiego, jeden za drugim, potem rozsypali się bezładnie, poczęli przystawać, przyglądać się taksując wzrokiem obecnych, ich wygląd i siłę. Na chudych i małego wzrostu z reguły nikt nie zwracał uwagi i przechodził obok obojętnie.

Za to wysokich, dobrze zbudowanych oglądano szczegółowo, często wokół takiego dryblasa gromadziło się kilku posiadaczy i badając go na wszystkie strony, wypytywano o przeszłość, gdzie służył, co robił i ile mu płacono.

Cynar z Monasterza nie był ani zbyt wielki, ani zbyt mały, nie należał do chulerlaków, ale i do tłustych zaliczyć go niepodobna. Stał wraz z innymi czekając swego losu. Gospodarze przechodzili tam i nazad, szli naprzód, znowu zawracali jakby nie mogąc zdecydować się na wybór. Podnosiło to jeszcze zdenerwowanie wśród oczekujących, trwoga zaczęła sączyć się do serc, czy aby nie pominą, czy nie pozostawią człowieka z gołymi rękami na tym przeworskim rynku.

— Cynar, a ten co za jeden — spytał Franek wskazując palcem dostatnio ubranego w kożuszku i w butach z wysokimi cholewami, który szedł prawie na samym końcu, za wszystkimi gospodarzami.

— To pan z Łańcuta, rządca od pana hrabiego.

Cynar wypiął pierś i starał się ułożyć twarz do uśmiechu. Ekonom szedł bardzo wolno, patrzył małymi świdrującymi oczkami po zebranych, nie śpiesząc się, ni denerwując, zupełnie jakby mu na niczym nie zależało. Przed Cynarem zatrzymał się. Cynarowi ugięły się kolana, zadrżał cały jak liść osiki, ale nie dawał znać po sobie, że ciarki przechodzą go z niezwykłego przejęcia. Ekonom patrzał nań długo, wzrok jego ześlizgiwał się z głowy na ramiona, z ramion na nogi, z nóg napowrót ku głowie i twarzy.

Wreszcie podszedł bliżej i spytał krótko:

— Zdrowy?

Cynar obejrzał się: Czy to na pewno do niego, czy aby się nie myli. Ekonom uderzył go pięścią w pierś i ponowił pytanie:

— Zdrowy?

— Jak byk — zawołał uradowany Cynar.

Ekonom poklepał go parokrotnie po plecach i piersiach, potem począł obmacywać mięśnie rąk. Cynar stał napięty jak struna, zaciskał pięści, by mięśnie naprężyły się i nabrały jak największej twardości.

Ekonom Piłat miał swoistą teorię poznawania siły ludzkiej. Człowiek — mawiał zwykle — to jak koń: zbyt wielki tak samo niedobry do roboty jak zbyt mały. Najlepsze są średniaki. Mięśnie u nich zwięzłe, siła skuteczna.

Toteż Cynar spodobał mu się od razu, bowiem już na oko odpowiadał stawianym wymaganiom. Po dokładnym obmacaniu mięśni, po zaj-

(Dokończenie na str. 8-ej)

EUGENIUSZ KŁOCZOWSKI

O PGR-ach POZNAŃSKICH SŁÓW KILKA

ROZMAWIAMY z brygadzistą oborowym z PGR Strzeszyn, tow. Stanisławem Surowcem, sekretarzem miejscowej POP, młodym jeszcze człowiekiem, ale zżytym z oborą strzeszyńską już od lat chłopięcych. Gospodarstwo Strzeszyn o obszarze ponad 500 ha leży w obrębie Wielkiego Poznania. Obora jego nie w pełni wykonała plan dostaw mleka za 1 półrocze 52 r. z powodu różnych przyczyn: brak pasz po zeszłorocznej suszy, słabe zacielanie się krów itp., ale na pierwszym miejscu — jak mówi tow. Surowiec — wskutek zbyt szczupłego i dorywczo w oborze pracującego personelu brygady. „Co kogo do brygady namowię, to już po kilku tygodniach, a czasem po kilku dniach wyrywa się do fabryki albo do budownictwa i szukaj innego czy innej, ucz doić, obrządzać krowy po to, aby ci następny uczeń znów wiał do miasta".

W domach robotniczych Strzeszyna pełno mieszka ludzi, dobrze jest jednak, gdy choć jedna osoba z rodziny chodzi do roboty w gospodarstwie. Całą resztę ludności pochłania miasto, atrakcyjne już nie tyle wysokością zarobków, ile pracą „czyściejszą" i wolnym popołudniem. Na plaży jeziora w Strzeszynku i Kiekrzu opalają się po południu na słońcu byli pracownicy brygady ob. Surowca, a obecni o tym tylko myślą, aby pójść w ich ślady. Taki oto jest bieg wielkiej migracji ludzi ze wsi do miasta poprzez PGR Strzeszyn. A przecież na odcinku hodowli i obory opanowanie sytuacji nie jest zbyt trudne, ani zbyt odległe: wstawienie dojarki elektrycznej, kolejki oborowej, elektroluxu do czyszczenia krów nie doprowadzi co prawda do redukcji personelu brygady, bo zwiększająca się produkcja wymagać będzie wzrastającego pielęgnowania krów i ich wymion, ale przy poszczególnym udoju i obrządku 1 rolnik obsłuży nie 12 lecz 24 krowy, wskutek czego wprowadzić będzie można i trzeba pracę na 2 zmiany. Wówczas personel brygady tow. Surowca będzie miał możność nie tylko plażować się w Kiekrzu, jak koledzy z miasta, ale też szkolić się i obmyślać sposoby zwyciężenia we współzawodnictwie udojów mleka.

Trudniej nieco będzie niewątpliwie stworzyć atrakcyjność pracy dla brygady polowej, już dziś bardzo zdekompletowanej, bo niefunkcyjnych robotników jest ledwo 12. Kierownik gospodarstwa, ob. Waliga, oblicza z harmonogramu żniw, że bez dodatkowych ludzi sprzętu w wymaganym terminie 14 dni ukończyć się nie da. Pomoc urzędników z biur — to miła manifestacja łączności inteligencji ze wsią, ale trudności nie rozwiąże. SP wyjechać ma na inne, jeszcze bardziej potrzebujące ludzi tereny, tak jak i wojsko, którego pomoc wg doświadczeń z lat ubiegłych jest najbardziej efektywna. PGR Strzeszyn liczy jednak bardzo na nową formę pomocy miasta: na ekipy robotników fabrycznych ochotniczo zatrudnionych przez kilka tygodni przy żniwach. Ale te wszystkie pomoce, to półśrodki. Istota sprawy — to mechanizacja prac polnych, która musi być o wiele dalej posunięta, a jednocześnie do polskich warunków należycie dostosowana. Nasze małe, pagórkowate pola poprzerzynane smugami łąk, rowami i drogami, zmienna pogoda — to zupełnie inne warunki pracy, niż na rozległych stepach Ukrainy i Kazachstanu, i właśnie dlatego konieczne są u nas pilne badania systemu inż. Kowalewa. Dobrze się złożyło, że pierwsze tego rodzaju badania — odnośnie pracy sadzarki do ziemniaków — odbyły się właśnie na polach Strzeszyna wiosną rb. Badania te stanowią dopiero drobny fragment wielkich prac, jakie w dziedzinie przejmowania mechanizacji i doświadczeń radzieckich, na użytek polskiego rolnictwa wykonać muszą PGR-y. PGR Strzeszyn to nie wyjątek, lecz ośrodek dla około 50 gospodarstw podmiejskiego rejonu Poznania, ośrodek, gdzie atrakcyjność miasta wsysa robotników rolnych. Rejon ten nie tworzy pierścienia otaczającego miasto, ale wrzyna się w województwo, jakby mackami wzdłuż kilkunastu linii kolejowych, zbiegających się w Poznaniu. Trudność wykonania na czas robót sezonowych, np. późna w rb. przerywka buraków, wynika tu przede wszystkim z płynności kadr. Plan produkcyjny schodzi na wielu odcinkach, nie tylko do brygady ale i do pojedynczego robotnika, który chcąc walczyć skutecznie o jego wykonanie i przekroczenie, musi mieć skierowaną uwagę na szukanie nowych metod pracy, na pogłębienie swej wiedzy teoretycznej, na łączenie teorii z praktyką. Żadna bowiem recepta, żaden szablon nic wartościowego w rolnictwie nie stworzy. Pracować tak mogą jednak tylko ludzie na stałe, a nie sezonowo.

Choć wśród innych gospodarstw PGR woj. poznańskiego odpływ robotników do miast nie ma tak masowego charakteru jak w rejonie podmiejskim, trafiają się jednak tu i ówdzie okolice, gdzie brak robotnika ze swoistych przyczyn stał się również ostry, jak w terenie podmiejskim. Tak jest np. w zespole Ninino, położonym w powiecie Oborniki, gdzie jesteśmy świadkami przejściowych trudności charakterystycznych dla obecnego stadium walki klasowej na wsi. Część powiatu Oborniki — to teren gospodarstw kułackich, a raczej wielkokułackich: 30—100-hektarowych. Zespół PGR Ninino oparty o 2 większe, kilkusethektarowe gospodarstwa wszedł rok temu w użytkowanie odłogów z kilkudziesięciu gospodarstw kułackich, z wyprzedanym inwentarzem i podniszczonymi budynkami. Te pozostałości kułackich fortun rozrzucone są wśród innych prywatnych gospodarstw i rzadko z sobą graniczą. Porozrzucane w terenie odłogujące kawałki obsiać znakomicie zdołał **tow. Szron**, dyrektor zespołu Ninino, niedawny jeszcze robotnik rolny. Nad podziw piękne są tam obecnie żyta i pszenica. Ale zasiać małą obsadą ludzi mając traktory jest łatwiej, niż sprzątnąć. Szuka się z trudem nowych robotników, ale nie wiadomo, gdzie ich pomieścić. Porozrzucać ich po dawnych osadach, rozproszyć? — to znaczy zrezygnować z wielkiej, zcentralizowanej gospodarki typu socjalistycznego i z mechanizacji. Zresztą do dawnych, zniszczonych mieszkań, wymagający poznański robotnik nie wprowadzi się chętnie. Trzeba budować nowe domy, ale proszę powiedzieć gdzie, kiedy jeszcze nikt określić nie może kiedy i które z pokułackich odłogów przejdą na stałe do PGR. Tu już Rady Narodowe i czynniki administracji ogólnej powinny pomóc, wyznaczając choć punkty, bazy wypadowe PGR w takim kułackim terenie.

Jest wreszcie na północy województwa zakątek najgłośniej chyba wołający o ludzi do pracy, nie sezonowych, ale stałych, rodzinnych. Zakątkiem tym, a raczej taśmą przyszytą niedawno do województwa poznańskiego jest powiat Piła. Są tam dwa zespoły PGR: Trzcinka i Wieleń Północ, w obu obraz podobny: budynków dużo zniszczonych, gleby piaszczyste, łąki za to nadnoteckie potencjalnie bogate, które po melioracji podstawowej koryta Noteci staną się na pewno wielkim obszarem produkcji pierwszorzędnego siana. Okręg forsuje tam chów bydła, a oba zespoły domagają się budowy wielkiej ilości mieszkań robotniczych. Jedyną bowiem atrakcją, która w tamte kąty ściągnąć może ludzi rodzinnych z Polski, to dobre mieszkania, a tych właśnie jest jeszcze mało. PGR Trzcinka, kierowany przez rzutkiego towarzysza Jania (wychowanka kursów w Elblągu dla administracji PGR), ma niewątpliwie warunki po temu, aby się stać wzorowym, hodowlanym zespołem, byle tylko zdołał zwerbować ludzi, rozumiejących się coś niecoś na żywym inwentarzu. „Przyjeżdżają do Trzcinki — mówi tow. Janiak — same młode małżeństwa; starszego robotnika nie poświeci. Takie młode małżeństwo przede wszystkim ogląda mieszkanie w każdym z dziesięciu gospodarstw zespołu i najczęściej — jedzie dalej na Zachód, szukać obszerniejszego i wygodniejszego locum. W tych warunkach inwestycje Trzcinki i Wielenia nastawiać trzeba na budowę sporych ilości dwojaków mieszkalnych. One ściągną na pewno robotników jeśli nie z poznańskiego, to z Lubelskiego lub Kielecczyzny i na tych ekipach, gdy się zadomowią, oprzeć trzeba walkę o mechanizację i racjonalizację.

Foto CAF

Jak widzimy, sprawa zatrudnienia w PGR woj. poznańskiego ma szereg różnych aspektów i jakimkolwiek schematem rozwiązana być nie może. W każdym niemal gospodarstwie dążyć należy do równowagi w potrzebnej obsadzie ludzkiej w sposób nieco odmienny. Wspólnym pozostanie tylko naczelny i powszechny problem **narastającej mechanizacji, organizującej głęboko nowy, socjalistyczny styl pracy PGR.**

Eugeniusz Kłoczowski

W PRZEWORSKU TARG.. NA LUDZI

(dokończenie ze str. 7)

rzeniu w zęby, czy aby nie szczerbaty i będzie mógł gryźć suchy chleb, po sprawdzeniu, czy nie ma platfusów, ekonom Piłat powiedział — „dobra" i kazał Cynarowi iść za sobą. Cynar ruszył z miejsca uszczęśliwiony. Przechodząc obok wyczekujących parobków czuł, jak mu tamci zazdroszczą, jak obrzucają go łapczywym, natrętnym spojrzeniem. Ekonom Piłat znowu zatrzymał się i począł upatrywać nowego kandydata do pracy na folwarku. Cynar słyszał teraz dobrze rozmowy między gospodarzami, a oczekującymi pracy ludźmi.

Ktoś mówił:

— Dostaniesz jedzenie, parę obuwia i ubranie za rok pracy, zgoda?

Na to odzywał się nieśmiały głos:

— Dołóżcie, panie gospodarzu, choć koszulę do tego. Wiecie, że człowiek przy robocie potnieje, to i łach niszczy się rychło.

— Nie, nie dołożę. Jeśli nie chcesz tak, to dam wikt i 5 złotych na miesiąc. Chcesz?

— Dołóżcie choć dwa złote, dajecie za mało, zmiłujcie się!

Wybór padał zwykle na silnych i młodych, starzy oczekiwali bezskutecznie zaofiarowania im jakiejkolwiek pracy. Cynar wiedział, co tych ludzi czeka. Pójdą na żebry, będą chodzić od wsi do wsi, może złapie kto jaką robociznę przy żniwach lub kopaniu kartofli, ale o stałej służbie szkoda nawet marzyć.

Kiedy ekonom Piłat wyszukał jeszcze dwóch, nieznanych Cynarowi ludzi, opuścili rynek miasta Przeworska i udali się w kierunku na Łańcut.

Jan Koprowski

JAN CZARNY

BIEDNA MŁODZIEŻ

Mikołajczyk wygłosił w radiu londyńskim przemówienie, współczując młodzieży chłopskiej, że musi się uczyć, nie mogąc, jak przed wojną, pracować w folwarkach i majątkach prywatnych.

Ach, biedna ta chłopska młodzież,
Bo reżim nasz wciąż ją bodzie
I — co tu ukrywać, niestety!
Gna ją na uniwersytety.

Są nawet wypadki dość liczne,
Ba, rzec można, niemal nagminne,
Że kończy uczelnie techniczne,
Muzyczne, plastyczne i inne!

Ach, gdzież się te czasy podziały,
Ludowa dziś młodzież się żali,
Gdy wszystkich nas młodych czekały
Wspaniałe kariery fornali!

Ach, nie ma już, nie ma dworów,
Ach, nie ma już, nie ma folwarków
I nie masz już dzisiaj wyboru,
Bo rektor ci stoi na karku.

Ach, biedny młodzieńcze spod strzechy,
W tej męce straszliwej byś zginął,
Gdyby nie te słowa pociechy,
Płynące na falach z Londynu!

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul Wiejska nr 12, tel 7 52-50. Adres redakcji: Warszawa, ul Starynkiewicza nr 7
Prenumerata i kolportaż: P P K „Ruch". Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel 804-20 do 25
Tel Red Nacz 727-86 Tel Redakcji 751 80 dod wewnętrzny 91, 63
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 3.— zł, kwartalnie 9.—; półrocznie 18.— zł; rocznie 36.— zł.
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa 1-6842/110 z zaznaczeniem „za tyg „Wieś"
RSW „PRASA", Warszawa, Marszałkowska 3/5 3-B-21412

KRYSTYNA PAŁYS

DELEGACI NA ZLOT

GRYNIA i Juszkę, znają dziś wszyscy na budowie, a zdobyć popularność w tak wielkim rojowisku ludzi, to nie fraszka. Na budowie gubią się zresztą nie tylko ludzie. W lesie rusztowań i murów, niewykończonych szalowań, w sieci rowów i wykopów długo trzeba szukać miejsca, gdzie zarysowuje się hala, podnosi komin albo otwierają kanały pod wielki piec. Z ludźmi jeszcze gorzej.

Przed trzema miesiącami Grynia i Juszkę znało zaledwie kilku chłopców z rodzinnej wioski. Nie zwracano na nich większej uwagi, nawet wtedy, gdy Gryń i Juszka pierwsi podjęli zobowiązanie przedzlotowe, Zobowiązania podejmował wtedy każdy, kto miał prawo do używania przymiotnika „młody". Było tych zobowiązań na budowie cementowni w Rejowcu tyle, że meldunki nie mieściły się w skoroszycie rady zakładowej. Każdy uważał bowiem za honor skrócić czas swojej roboty. A skończyła brygada jedno, zaraz podejmowała drugie zobowiązanie — owe serie krótkoterminowych wyczynów, złożyły się na jedno długofalowe, przyśpieszające budowę.

I szłoby wszystko gładko, gdyby nie majowa pogoda. Zaczęli na nią narzekać ludzie już w pierwszych dniach miesiąca. Zamiast słońca panoszyły się zimno i deszcze. Krok w krok za harmonogramem szli tylko ci, którzy pracowali pod dachem. Brygady ciesielskie, murarskie, zbrojarskie i betoniarze nie mogli w żaden sposób dać sobie rady. Rankiem wydawało się zawsze — będzie pogoda, zaczynali więc z pośpiechem roboty. Kiedy zaprawa w betoniarkach była gotowa, tylko wlewać w doły, już ze skłębionych chmur lało jak z cebra. Kilka razy na dzień musieli schodzić z miejsc robót murarze, cieśle klnąc opuszczali rusztowania, złorzyczyli takiej pogodzie betoniarze. W żaden sposób nie można było „podpędzić" roboty; zimno i deszcze paraliżowały wysiłki a dni mijały jeden za drugim, kurczyły się słupki na wykresie wykonanych robót. W dwudziestym dniu dwie cyfry odsłoniły z całą bezwzględnością beznajdziejność sytuacji. Mieli poza sobą zaledwie 48 procent planu; 52 procent, które czekały na wykonanie, zdawały się urastać przed załogą do rozmiarów olbrzymiej góry nie do przebycia.

Ale tego dnia zamknęły się niebieskie upusty, wiatr rozpędził wreszcie gromady chmur.

Zwołano zebranie. Wtedy po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę młody Gryń.

— Moja brygada rozpoczyna jutro betonowanie bez przerwy przez 16 godzin.

Tym jednym zdaniem zapoczątkował Gryń wielki zryw blisko tysiąca ludzi do „ratowania" planu.

Następnego dnia brygada Grynia kładła beton na fundamenty wylotowe pod kominy. Betoniarka hałasowała już dwunastą godzinę z rzędu, a chłopcy nie ustawali w robocie. Pozwolili maszynie na odpoczynek dopiero przed północą.

— Trzy dni odwaliliśmy dziś — oznajmił Gryń.—300 procent zapisze w notesie technik. Ciekaw jestem ile ma Juszko? Tamci też pracują nie gorzej od nas.

Po jedenastu dniach pojawiła się na tablicy cyfra 108. Sto osiem wyrobionych dni. Brygady Juszki i Grynia nie notowały niższych wyników od 395 proc. normy dziennej.

O Juszce i Gryniu mówiło się: To ci betoniarze, którzy nie wyłazili z dołów. Twarde chłopaki, twardsze od żelbetonu.

Naprawdę twarde chłopaki ten Gryń i Juszko. Obaj z chełmskiego, obaj mają po 22 lata. Henryk Juszko pochodzi ze wsi Sarniaki, Jan Gryń urodził się za Bugiem a znalazł się w Horodysku dopiero w 1945 roku. W rodzinie jednego i drugiego wyrastało po pół tuzina dzieci, a ziemi było wszystkiego nie więcej jak dwa hektary.

Juszko musiał szukać samodzielnie sposobu do życia zaraz po ukończeniu pięciu klas w szkole podstawowej. Wyczytał w gazecie wiadomość o przyjmowaniu młodzieży do liceum górniczego. Wziął z domu na drogę bochenek chleba i serek, wyprosił u matki pieniądze na drogę i wsiadł w Chełmie do pociągu. Tak wyglądał jego start do samodzielnego życia.

W Bytomiu nauka szła mu dobrze i byłby już dziś fachowcem w śląskiej kopalni, gdyby śmierć ojca nie pomieszała szyków. Siostry powychodziły za mąż, starszy brat odbywał służbę wojskową, matka staruszka została sama. Ktoś musiał obrobić cztery morgi pola. Rzuca wtedy Juszko z ciężkim sercem liceum w Bytomiu, chociaż do ukończenia brakowało tylko rok nauki i wraca do matki. Morgi obrabiał tylko rok, dłużej nie wytrzymał. W Rejowcu wiosną 1950 r. zaczynano budowę wielkiej cementowni. Przekonał staruszkę, że zarobi tam więcej niż w domu i znów wyszedł z Sarniak z węzełkiem w rękach.

Postawili go początkowo jako operatora przy betoniarce. Praktykował przy maszynie niedługo. Po trzech miesiącach zgłosił się sam do betonowania, bo płacili od metra a jemu chodziło o zarobek.

W jaki sposób zebrał koło siebie ośmiu chłopaków z rodzinnej wsi żaden dziś nie potrafi wytłumaczyć, ale sami twierdzą, że wybrali go dobrowolnie na brygadiera, ponieważ potrafił sobie najprędzej poradzić ze wszystkimi trudnościami i robotę zorganizował jak należy.

Gryń nie ukończył nawet dwóch licealnych, musiał się zadowolić szkołą podstawową. On też zgromadził dwunastu chłopców ze swojej wioski. Na wielkiej budowie razem z Juszką wykazali swoje zdolności, chłopski upór przekształcili w wytrwałość, która potrafi usuwać w pracy nawet takie zapory jak 52 proc. planu w ciągu 10 dni. Wokoło Grynia i Juszki zebrało się kilkunastu chłopaków z Sarniak i Horodysk, bo czują się z nimi pewniej na nowej drodze, nieznanej do niedawna chłopom z chełmskiego.

Oto okoliczności, w jakich nazwiska Gryń i Juszko znalazły się na listach delegatów na Zlot Młodych Przodowników—Budowniczych Polski Ludowej. W meldunkach napisano obok nich zaszczytne słowo „bohater pracy".

Z Gryniem i Juszką pojedzie na Zlot Karolina Lipkowska, traktorzystka z POM-u Skrobów. Jej start do nowego życia odbył się też w powiecie chełmskim. Zaczęła od Ośrodka Szkolenia Traktorzystów.

Dzieciństwo miała jeszcze smutniejsze od Grynia i Juszki. Spędziła je na służbie u kułaka. Pasanie krów, obrządki w oborze, stale zgięty grzbiet przy pieleniu, okopywaniu, w czasie żniw i wykopków a wzamian za to wymysły i oddzielna miska — rodziły w dziewczynie bunt. Nie wytrzymała długo na takim chlebie i wróciła do domu. Powiedziała, że pojedzie do Chełma uczyć się jazdy na traktorze. Dosyć ma zginania pleców u kułaka.

Kułacy podśmiewali się ironicznie, niejeden może by i załał jej sadła za skórę, gdyby Lipkowska nie była rosła i mocno zbudowana. Z taką woleli nie zaczynać. Rączki lekkiej nie miała — widać to było od razu.

— Zobaczymy co będzie w polu — mówili.

Wiosną tego roku przydzielono ją do dwóch spółdzielni produkcyjnych — Rozkopaczewa i Starej Woli. Już po czterech dniach powróciła do bazy.

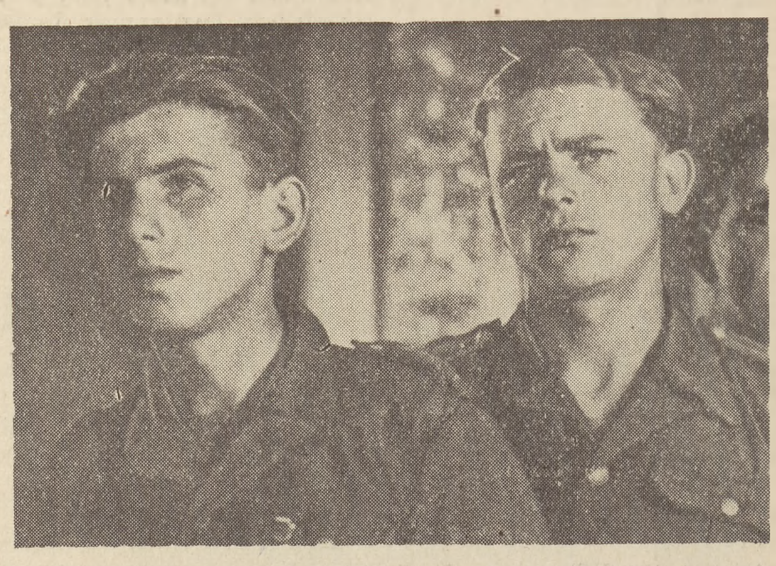
Foto Cz. Swirta

Wyszło na jaw jakim sposobem wyprzedziła innych, Łączyła sprzęt w agregaty. Przypiąć bronę za pługiem albo siewnikiem to prosta sprawa, jednak nikomu nie przyszło to do głowy. Lipkowska biła chłopców nie tylko w robocie, potrafiła lepiej zorganizować pracę.

— Dlaczego dyrekcja POM-u-Skrobów nie spopularyzowała metod pracy traktorzystki Lipkowskiej jeszcze w czasie siewów? — pytano w lubelskiej prasie. Załoga skończyłaby siewy o kilka dni wcześniej i miała poważne oszczędności w paliwie.

Drogi z kułackiego podwórka poprzez POM do Srebrnego Krzyża Zasługi nie potrafi każdy odszukać samodzielnie i zdobyć delegacji na Zlot. Zrobiła to Karolina Lipkowska, łamiąc stare przesądy w swoim domu, uprzedzenia kolegów w POM-ie, odnajdując nowe metody pracy.

Tacy delegaci na Zlot, czyż nie doskonały to zadatek na socjalistycznego człowieka?

Krystyna Pałys

ADAM SARN

BIUROKRATA CZYLI „NOSIWODA"

SPRAWA pompy—to cała historia związana zresztą ściśle z hodowlą. Zepsuła ona dużo krwi przewodniczącemu, zarządowi i hodowcom. Trzeba ją opowiedzieć od początku, ku przestrodze dla tych biurokratów zza biurek, którzy wzorem koszalińskiego rejonowego kierownictwa robót wodnomelioracyjnych zaniedbują swoje obowiązki względem żywotnych interesów wsi.

W Tymieniu obory są zaopatrzone w urządzenia wodociągowe. Wmontowane nad oborą dwa potężne zbiorniki dostarczają wodę do wszystkich budynków gospodarczych. Do zbiorników elektryczna pompa wodę tłoczy. Wygoda i zdrowie.

W lecie 1951 r. stało się jednak nieszczęście. Pompa przestała działać. Zawiadomiono o tym Rejonowy Urząd Wodno-Melioracyjny w Koszalinie. Przyjechali fachowcy i pompę naprawili. Niestety, działała tylko przez dwa tygodnie.

Wtedy dopiero zaczęło się... Kilkadziesiąt razy zawiadamiano ustnie, pisemnie, telefonicznie właściwe „czynniki". Nie pomagało. Przewodniczącemu wstyd już było tak się naprzykrzać ludziom. Wysyłał więc innych. Bez rezultatu. Ze strumyka przepływającego obok czerpano wodę na potrzeby chlewni, konie i krowy pojono w strumieniu. Bronisław Gałószka pocieszał, że zima sprzyja spółdzielni, bo gdyby tak w styczniu przyszły mrozy i woda w strumieniu zamarzła?

Ale mróz na szczęście nie pojawił się. Pojawił się za to (również na szczęście) przedstawiciel gazety. Zapisał i pojechał.

Niedługo potem w Koszalinie czytano felieton w dzienniku „Wola Ludu":

„W pewnym mieście kierownictwo Miejskich Zakładów Komunikacyjnych zwlekało długi czas z połączeniem odległego osiedla robotniczego linią trollejbusową ze śródmieściem. Nie mieli — jak mówili — możliwości.

Zarząd miasta znalazł jednak sposób. Prosty i nieskomplikowany. Przesiedlił kierownictwo zakładów komunikacyjnych ze śródmieścia do tego osiedla. Wynik był. W krótkim czasie osiedle otrzymało linię komunikacyjną.

O takich sposobach nie wiedzą jednak w Koszalinie. Oto dowód:

Spółdzielnia produkcyjna w Tymieniu, powiat Koszalin, posiada rozwiniętą hodowlę: 60 sztuk bydła, 113 sztuk świń, kilkadziesiąt owiec, 450 kur.

Stworzenie zaś jest, jak wiadomo, żywe. Nie może obyć się bez wody.

Ośrodek gospodarczy spółdzielni posiada wodociągi. Rury wodociągowe są doprowadzone do stajni, obór i innych budynków gospodarczych. Na miejscu można by czerpać wodę...

Do takiego urządzenia potrzebna jest jednak pompa. Spółdzielnia pompę posiada, ale uszkodzoną. W lecie była czynna.

Od września naprawia ją Rejonowy Urząd Wodno - Melioracyjny w Koszalinie.

Nie można powiedzieć, żeby nikt do Tymienia nie przyjeżdżał. Owszem, przyjeżdżali. I to nie byle kto. Specjaliści. I nie raz. Dwa razy byli.

Ale pompa nadal jest nieczynna. Spółdzielcy interweniowali już w powiecie. Powiadają — sto razy. Możliwe, że przesadzają. Byli, powiedzmy nie sto, a tylko 40 razy.

Cóż ma jednak wspólnego — powie czytelnik — sprawa pompy z linią trollejbusową w pewnym mieście.

Otóż ma. Z tamtego przykładu można wziąć sposób na (powiedzmy delikatnie) karygodne niedbalstwo i biurokrację kierownictwa robót wodno - melioracyjnych w Koszalinie.

Sposób następujący: Kierownika urzędu trzeba przenieść do spółdzielni produkcyjnej, na stanowisko... nosiwody.

Niedaleko, 200 metrów z pobliskiej rzeczki. Do płukania ziemniaków, mycia koryt i do parnika. Jego zastępcę do pojenia krów.

Bolesława Gałószkę zaś, obecnie chlewmistrza, do Urzędu Wodno-Melioracyjnego.

Dajemy gwarancję, że pompa zostanie wyremontowana w okresie 3 dni. Przecież pompa — to nie trolllejbus".

Przepowiednia dziennikarza sprawdziła się co do joty. W ciągu trzech dni pompa była naprawiona. Znalazły się potrzebne części, znaleźli się fachowcy. Popłynęła woda do zbiorników nad oborą, a stamtąd do wszystkich budynków gospodarczych.

Od tej pory na biurokratę nie mówią w Tymieniu inaczej, jak „nosiwoda".

Adam Sarn